Nr. 39. Poznań, dnia 30 Września 1906 r. Rok X.

Abonament wynosi kwartalnie: na poczcie. . . 1,25 z odnoszeniem do domu . . 1,37 pod opaską . . 2,50

PRACA

Adres Redakcyi: Poznań, ul. Rycerska Nr. 38. Telefon Nr. 1465. Ogłoszenia: od wiersza drobnego 20 fen.

TYGODNIK POLITYCZNY I LITERACKI, ILLUSTROWANY.

Treść nr. 39-go.

Od Redakcyi.

Nadbiega koniec letnich miesięcy — rozpoczyna się jesień, a za nią niezadługo nadejdzie zima. Wieczory długie, zimowe zgromadzą rozbiegłą wśród lata i wiosny rodzinę na około wspólnego stołu. Gawęda się rozpocznie. Wszyscy zwierzać się sobie będą z nadziei, z jakimi witali wiosnę, z zawodów, jakie przyniosło im lato i jesień, zanucą pieśń to wesołą, to żalu pełną i smutną — a smutek zacina usta i sprowadza milczenie.

Co wtenczas? Gdy rozmowa się urwie, gdy pieśń umilknie, gdy serce zadrży w niepokoju — doświadczony ojciec sięgnie po gazetę, by zobaczyć, co się na świecie dzieje i czy też wszędzie tak źle, jak i u nas.

A w gazecie różne znajdzie wieści, i te, które mówią o dobrem i przyjemnem na tem świecie, i te, co o nieszczęściach ludzkich głoszą.

I może z tej gazety w smutku pogrążeni dowiedzą się, że bywa na świecie gorzej aniżeli u nas — i ukoi się ich ból, a może i powodzenie innych nową natchnie słuchających nadzieją i otuchą.

Tak istotnie bywa. Ludzką bo jest rzeczą, zapominać o własnej niedoli, gdy się słyszy o obcej a większej, a więcej jeszcze radować się własną radością, gdy i inni radość mają.

A źródłem tych wieści to gazeta.

A u nas, w polskim narodzie gazeta jeszcze inne ma znaczenie, musi ona nieraz zastąpić *szkołę* tu w kraju, a na obczyźnie nie tylko *szkołę* ale i *kościół nierzadko*. Wiedzą o tem bracia nasi, którzy wśród obcych i innowierców lata całe nie widzieli księdza.

Nie powinien też być dom polski bez gazety polskiej, bo gazeta polska u nas, to polska szkoła, to narodowa wychowawczyni społeczeństwa.

Do szeregu tych gazet od 10 lat należy i „Praca". „Praca" ma już swoją ustaloną opinię — opinię pisma na wskroś *narodowego*.

Skąd to pochodzi? Gdy nastały czasy srogiego ucisku, „Praca" pierwsza wprowadziła na swoje łamy *śmiały ton krytyki* działalności germanizatorskiej. Krytyka ta zwróciła się w pierwszym rzędzie przeciwko — hakacie i hakatyzmem zarażonym rozporządzeniom władz.

Skutek tego „ostrego" tonu „Pracy" był dwojaki: na „Pracę" zwróciły argusowe swe oczy władze pruskie, szczególnie policya, zaczęła ją śledzić *prokuratorya*. Stąd ciągłe *rewizye*, *procesy i dotkliwe kary — więzienne i pieniężne*. Zliczyliśmy w *dziesiątą rocznicę* istnienia „Pracy", że redaktorzy „Pracy" a niemniej dawniejszy jej wydawca znany powszechnie ze swej sprężystości i działalności p. *Marcin Biedermann* — przecierpieli w więzieniu razem wziąwszy *„lat dwanaście"*.

Nie brak w tym szeregu i *kierowników* redakcyjnych „Pracy" — ciętych szermierzy pióra i patryotów pp. dr. *Kazimierza Rakowskiego* i *Macieja Wierzbińskiego*. — Ostatni z nich p. *Maciej Wierzbiński* nieomal *rok już* cierpi, a jeszcze nie koniec jego kaźni.

Był więc jeden skutek bolesny — ale miał jednakże ten moralny sukces, że odtąd *więzienie za sprawę narodową* należy — *do największych zaszczytów*.

Był i drugi skutek — dodatni w całem tego słowa znaczeniu.

Oto — na dowód, że „Praca" tak pisze, jak społeczeństwo nasze myśli i czuje — około „Pracy" zaczęły się szeregować coraz szersze koła *Czytelników, Zwolenników i Przyjaciół*; „Pracę" rozrywano, wędrowała z rąk do rąk — stawała się jednem słowem *„pismem najpopularniejszem"* na cały zabór pruski.

Odtąd „Praca" w raz podjętym kierunku na drodze *narodowej pracy, narodowej oświaty i narodowej obrony* postępuje nieustannie i *niezmiennie* naprzód.

My wiemy, że na tej drodze potrzeba będzie jeszcze ofiar, ale w obronie praw naszych, skarbów języka i wiary św. — się nie cofniemy.

Pozostaniemy nadal pismem narodowem, narodową szerzyć będziemy oświatę, narodowo uświadamiać będziemy politycznie te koła Czytelników i zwolenników naszych, które około nas się grupują, bo dziś wśród wszystkich narodów przewodnią ich gwiazdą na przyszłość, to *„narodowa idea"*, i sądzimy, że szeregi Czytelników i Zwolenników naszych na tej drodze naszej będą się coraz bardziej zwiększać i rość — a to będzie dla nas zachętą i bodźcem do dalszej pracy.

Redakcya.

Wszystko pokona!...

„Kto ma *wolę*, ten *wszystko pokona*.“
(*Słowacki.*)

Kto zna życia trudy i ciężary...

Kto zna przeszkody i zapory rozlicznie na nas czyhające...

Kto wie jak mozolnie trzeba opierać się, ażeby do obranego celu dojść i nie ustać w drodze, temu podobne hasło wyżej napisane, wyda się tylko czczą deklamacyą i frazesem.

A jednak, kto wgłębi się myślą w zdanie Słowackiego, kto pocznie rozważać i rozbierać znaczenie słów, ten może przyznać, iż wieszcz prawdę ostrą, surową, groźną nawet prawdę w słowach powyższych zamknął.

Kto ma *wolę* — ten wszystko *pokona!*

Więc zwycięży ten, kto postanowi zwyciężyć!

Więc zdobędzie ten, kto postanowił zdobywać.

Więc dojdzie ten, kto postanowił iść.

Wszak *wola* nie jest niczem innem jak postanowieniem trwałem, nieugiętem, nieodwołalnem.

Więc ci potrafią pokonać wszystko, co trudem i ciężarem przeszkadza, wszystko co zaporą i tamą staje na drodze.

Ci zaś nie pokonają, którzy nie mają woli, którzy chwiejni są i trwożni, których lot ustaje łatwo, a krok cofa się rychło.

I między jednymi i drugimi życie Ojczyzny naszej zawisa. Między jednymi, którzy mają wolę i chcą pokonywać to wszystko, co trudem, przeszkodą i ciężarem się stacza, a między drugimi, którzy nie mają silnej i trwałej woli, którzy pragną i boją się, idą i cofają się — niosą i składają swe ciężary.

Ci pierwsi zdobywają wiele i przynoszą narodowi jaśniejsze chwile. Ci drudzy nie pokonają niczego, jeszcze dodają wiele nowych ciężarów.

Ludzie z silną wolą pokonują moc i przemoc.

Ludzie z słabą wolą lub bez niej są pokonywani przez tych nieprzyjaciół, którzy właśnie do tego dążą, ażeby przy pomocy swej silnej woli pokonać nas zupełnie.

Kto zna warunki naszego, teraźniejszego bytu.

Kto wie ile planów i zamiarów ku temu jest skierowanych, ażeby nas do wynarodowienia i zatonienia w obcej fali doprowadzić, ten musi sobie często — wiele razy przypominać groźne słowa Słowackiego:

— Kto ma wolę, ten wszystko pokona!

Wszystko pokona!“ powinno nam brzmieć ciągle w uszach.

Wszystko pokona albo wróg nasz, albo naród nasz.

Wszystko zdobędzie, albo ten, kto czyha jako zaborca i ciemiężyciel, albo ten, kto idzie jako obrońca i bohater.

Nie ten zwycięży, kto więcej mieć będzie broni i narzędzi, lecz ten, kto będzie mieć silniejszą *wolę*.

A więc patrzmy w głąb naszej duszy i mierzmy siłę naszej woli.

Zabierają nam ziemię szmat po szmacie, zagon po zagonie, niwę po niwie. Dlaczego?

Bo oni mają wolę wszystką ziemię nam zabrać, a między nami są, którzy nie mają woli obronić tej ziemi od rąk obcych.

Więc *wszystko pokona* ten, kto ma silniejszą wolę, czy nie tak?

Germanizują nas i przerabiają na zupełnie obcych, ci którzy mają silną wolę i chcą zdobywać i serca i dusze polskie. A my — ileż razy damy się pokonać i przetapiamy polską duszę na niemieckie życie!...

Gdybyśmy mieli *wolę* jak granit silną i jak stal hartowną, zaliż byśmy się dali zdobywać?...

Jeśli nasz wróg ma wolę, ażeby nas pokonać zupełnie, miejmyż my wolę, ażeby się oprzeć i nie dać pokonywać.

Jest to trwanie w ciągłej, cichej, ukrytej walce dwu światów, dwu biegunów, dwu narodów, które się nigdy w jedno zespolić nie mogą, bo mają odrębne cele, drogi i środki. W walce tej zwycięzcą wyjdzie ten, kto silniejszy będzie w woli — czy rozumiemy?

A więc każda przegrana nasza — to wina naszej woli, która nie umiała pokonać wszystkiego.

Zgroza!... Jak straszne widmo nieszczęścia wyciąga ku nam czarne skrzydła słabość woli i szepce: — Oddalcie mnie od siebie, oddalcie mnie od siebie!!...

Polaku!... stań i rozważ...

Jeżeliś chwiał się i łamał, jeżeliś padał i przegrywał, jeżeliś cofał się

Naród Polski
pod obcem panowaniem.

93)

Opowiedział:
Julian Bączyński.

(Ciąg dalszy).

— Zawód nas spotkał, w tym pokoju o Polsce żadnej wzmianki nie było!

— Dla ułagodzenia nas Bonaparte wyraża najwyższe pochwały o waleczności naszej, każe nam być cierpliwymi i wytrwałymi, a wracać musimy do Bolonii! [1])

Ten żal Legionistów włoskich niczem przecież był w porównaniu z rozpaczą i zwątpieniem Legionistów, cierpiących głód i nędzę na ziemi wołoskiej.

— W łeb sobie strzelę! — wołał zrozpaczony Ksawery Dąbrowski. Wreszcie na wiadomość, iż na tron rosyjski wstąpił Paweł I., podążył do Petersburga wraz z Kosmowskim.

— Nie czekam, tylko sam na własną rękę wtargnę do Galicyi! — krzyczał porywczy Joachim Derzysko i na czele 200 konnych przepłynął przez rzekę Prut. Wtem austryackie wojsko, którego było 2000, a także tłumy chłopów, groźnie wysuwać się poczęły, wobec czego Derzysko z kilkudziesięcioma tylko konnymi zwrócił się i uciekał na Wołoszczyznę, resztę zaś Austryacy zabili w bitwie, a 17 konfederatów pojmanych, między nimi także kapitana Malforta, powiesili (28-go czerwca 1797 r.)[2]).

Pokojem w Campo Formio zamienione zostały północne Włochy na Rzeczpospolitą Cisalpińską[3]) i w jej służbę przeszły teraz Legiony jako *Legiony polskie posiłkujące Rzeczpospolitą Cisalpińską.*

[1]) Z żalu „jenerałowie potracili głowy: puszczano krew Wielhorskiemu, zachorował „Dąbrowski, Kniaziewicz z połowę energii utracił, legię jednak poprowadził“. Ale ci ludzie silni duchem i wielką miłością ojczyzny nie długo pogrążeni byli w smutku i zwątpieniu, bo na obcej ziemi i przymierających często głodem utrzymywała przy życiu jedyna nadzieja odrodzenia i odzyskania ojczyzny. Korzystając z czasu pokoju, starali się teraz podnieść ducha w swem wojsku. Założyli szkółki wojskowe, w których Paszkowski i Rymkiewicz uczyli matematyki, historyi i języków. Cypryan Godebski spisywał dziennik zwany „Dekadą legii“, Wybicki i Drzewiecki układali piosenki. Utrzymywali ci bezdomni tułacze ścisły, duchowy związek z krajem i pouczali się wzajemnie:
— Rośnie Polska nowa, która przeniesiona nad Wisłę i Wartę stanie się podwaliną przyszłego życia narodowego. Limanowski 31 wedł. pamięt. Drzewieckiego; Sokołowski (IV. 1261.)

[2]) Limanowski, j. w.; Sokołowski, IV, 1258.

[3]) *Cisalpiński*, z tej strony Alp (od Rzymu).

ustawał toś winien ty i pokonanym będziesz dotąd, dokąd nie zdobędziesz *woli!*...

Wszystko co dotąd czyniono z nami i na naszej ziemi — czyniono w imię *silnej woli* zniszczenia polskości.

Wszystko co mamy czynić dziś — powinniśmy czynić w imię *silnej woli* nie dającej się złamać.

Kto się nie ugnie i nie cofnie ten *wszystko pokona!* *Iskra.*

Pruskie prawo szkolne
a język polski.

Na wiecu szkolnym *w Strzelnie* z ub. niedzieli po raz pierwszy naszkicowany został całokształt pruskich praw wobec polskiego języka, i to praw odnoszących się do wykładu *szkolnego*. Szkic ten tem większe posiada znaczenie, że pochodzi od prawnika, od adwokata p. dr. Swinarskiego z Inowrocławia. Któż inny aniżeli nie adwokat prawo to powinien znać najlepiej?! To też istotną przysługę społeczeństwu oddał pan mecenas Swinarski opracowaniem tego prawa. Przemówienie*) to na wiecu strzelińskim p. mec. S. uważamy za tak ważne, że podajemy je tutaj w całości. Pozwalamy sobie atoli zwrócić uwagę na to, że mowa p. mec. Swinarskiego nie zawiera opinii o oporze dzieci przeciwko niemieckiej nauce religii. W wykładzie czysto prawniczym brak ten nie podpada, zaznaczamy go tutaj jedynie dla tego, ażeby nie znaleźli się tacy, którzyby z mowy p. mec. Swinarskiego chcieli wysnuć wniosek, że oporu tego — zaniechać należy. O tem p. mec. S. wcale nie mówi, mówi atoli bardzo wyraźnie o potrzebie *obrony*, i obronę tę zaleca na podstawie środków prawnych.

To jest jedna droga obrony — drugą jest opór dzieci. O ile pierwszą zaleca się głównie i publicznie, o tyle drugą pozostawia się samorzutnej akcyi społeczeństwa, a to z tego powodu, że *ustawa karna wyraźnie zakazuje nawoływania do nieposłuszeństwa względem praw ustanowionych i rozporządzeń władz.*

Pan mec. Swinarski — tak mówił:

Szanowni Ojcowie!

Komitet, urządzający dzisiajszy wiec w sprawie szkolnej, zawezwał mnie, bym jako prawnik z zawodu zaznajomił Was z przepisami prawnymi, dotyczącymi wykładu religii w języku polskim, a zarazem bym Wam, wysłuchawszy Wasze żale i dolegliwości, na które bądź to sami bądź też dzieci Wasze były i są narażone, wskazał drogę, którą postępując dochodzicie słusznych Waszych praw, a nie schodzicie z drogi prawnej i nie narażacie się na srogie kary sądowe i na coraz większy ucisk, spowodowany nierozważnem postępowaniem, możliwem wskutek rozgoryczenia, które wre wśród Was. — Z chęcią zawezwaniu temu uczyniłem zadość, bo i moją zasadą i mojem zadaniem jest: „obroną".

Chcąc skutecznie i dozwolonymi a przysługującymi nam środkami przeprowadzić obronę języka polskiego w wykładzie religii, odnośne przepisy prawne musicie znać choć ogólnikowo, bo inaczej nie rozumielibyście, dla czego ku przeprowadzeniu obrony w poszczególnym przypadku podaję te a nie inne środki.

Przedewszystkiem zaznaczam, że przepisy, dotyczące języka, w którym religia ma być wykładaną, nie polegają na żadnem prawie, tylko na rozporządzeniach administracyjnych. Artykuł 26 konstytucyi pruskiej zapowiedział wprawdzie, że prawo szkolne ma być wydane, lecz dotąd prawa takiego nie ma. Ponieważ według zasad konstytucyi pruskiej rozporządzenia królewskie mają zupełną ważność, o ile nie ma praw innych, i ponieważ rozporządzenie królewskie tylko znowu innem królewskiem rozporządzeniem może być zniesione, więc i w sprawie języka przy wykładzie religii przedewszystkiem do dnia dzisiejszego zobowięzuje rozporządzenie królewskie z dnia 26-go lutego 1894 r. Rozporządzenie to zatwierdza dawniejsze odnośne przepisy, a mianowicie rozkaz naczelnego prezesa poznańskiego z dnia 27-go października 1873. Dla tego też od tych rozporządzeń zaczynam.

Rozporządzenie ministeryalne z dnia 15-go października 1872 opiewa, że dotychczasowe przepisy co do religii katolickiej zobowięzują i nadal.

Jednem z ważnych dawniejszych rozporządzeń jest rozporządzenie z

*) Przemówienie to podajemy za „Dziennikiem Kujawskim."

Kiedy Bonaparte wyprawił się na zdobycie Egiptu (20-go maja 1798 r.), połączyły się państwa europejskie w nowy związek przeciwko Francyi. Do związku tego należały głównie Anglia, Rosya, Austrya i Neapol.

Odżyły wtedy znowu nadzieje Legionistów, gdy w rozpoczętej wojnie mogli walczyć przy boku wojsk francuskich pod głównem dowództwem Championeta. Ale znowu kazano im tłumić powstańcze ruchy ludności włoskiej, co z przykrością spełniać musieli.[4])

Idąc przez ziemie włoskie dawali Legioniści wszędzie dowody szczególnej pobożności i uszanowania dla władz kościelnych, co bardzo dziwiło Włochów.

Do zdobycia zbuntowanej Werony, gdzie stronnictwo austryackie wyrznęło załogę francuską, przyczyniły się głównie Legiony. Wtedy to zginął mężny pułkownik Liberadzki, walczący na czele 400 Polaków i 2000 Francuzów i Włochów (r. 1797). Pierwszy to Polak, który we Włoszech poległ. Włosi postawili mu pomnik, a Dyrektoryat przysłał dla legii pochlebny list, w którym były następujące słowa:

— Już nie żyła Polska, a jeszcze walczyła![5])

W Loretto spotkała Legionistów niezwykle miła niespodzianka. Dąbrowski otrzymał rozkaz upoważniający go do odebrania stamtąd chorągwi Mahometa, zdobytej pod Wiedniem (r. 1683) i przysłanej wraz z szablą przez króla Jana III. w darze Najśw. Pannie Maryi Loretańskiej. Akt ten odbył się pardzo uroczyście.[6])

Dąbrowski razem z Francuzami zdobył Rzym i stanął na Kapitolu[7]). Z pod posągu Marka Aureliusza tak przemówił do towarzyszy broni:

— Stanęliście na szczycie góry, na której błyszczy sława tylu wieków; pomnijcie, w jakim dniu tu wstępujecie, niech godło sławy i miłość kraju tkwi zawsze w sercach waszych!

Następnie stanął na Kapitolu z garnizonem Kniazie-

[4]) Lewicki, 379.
[5]) Morawski, VI, 21, 22.

[6]) Z kościoła wyniesiono sztandar i miecz. Żołnierze ustawieni w czworobok padli na kolana i modlili się ze łzami w oczach, gdy wręczono im te drogie pamiątki. Dąbrowski, który otrzymał szablę, ujął do ręki jej klingę i zapytał zdziwiony:

— A gdzie jest rękojeść szabli wysadzana drogiemi kamieniami?

— Dawno sprzedały ją ręce świętokradzkie! — odpowiedzieli mu wtajemniczeni. Chorągiew złożono w głównej kwaterze legii. — Sokołowski, IV, 1280.

[7]) *Kapitol* (Capitolium), warowny zamek starożytnego Rzymu na wzgórzu Kapitolińskiem. Tam była świątynia Jowisza i siedlisko świętości narodowych, jakoteż polityczne i religijne ognisko całego państwa rzymskiego.

dnia 9-go listopada 1867, którego § 11 opiewa, że religia ma być udzielaną w szkole elementarnej według podręczników zaprowadzonych przez rejencyą za zezwoleniem księdza Arcybiskupa.

Co do języka, w jakim nauka religii ma być wykładaną, opiewa rozporządzenie naczelnego prezesa poznańskiego z dnia 27 października 1873, że nauka religii i śpiewu kościelnego ma być dzieciom polskim wykładana w języku ojczystym. Jeżeli dzieci atoli o tyle rozumieją po niemiecku, że naukę religii pojmują zupełnie dobrze w języku niemieckim, to nauka religii może być zaprowadzoną w języku niemieckim za zezwoleniem rejencyi, ale tylko w średnich i wyższych klasach.

Dosłownie brzmi to rozporządzenie następująco:

„Nauka religii i śpiewu kościelnego będzie dzieciom polskiego języka udzielana w mowie ojczystej. Jeżeli jednakże dzieci te umiejętność mowy niemieckiej na tyle sobie przyswoją, że *dobre* zrozumienie i w niemieckim wykładzie stanie się możliwe, natenczas ma być język niemiecki i w tych przedmiotach zaprowadzony w średnim i wyższym oddziale — za pozwoleniem rządu jako język wykładowy“.

To rozporządzenie jest bardzo ważnem i zwracam na to uwagę, że rozporządzenie to naczelnego prezesa jest zatwierdzonem — jak to już wspomniałem — w rozporządzeniu ministeryalnem, wydanem na rozkaz królewski, z dnia 16 marca 1894 r. Odnośny ustęp rozporządzenia tego królewskiego brzmi:

„W tych szkołach..., w których z reguły planowy wykład religii dzieciom polskim przez ustanowionego przy szkole nauczyciela według rozporządzenia naczelnego prezesa z dnia 27-go października 1873 r. w średnim i wyższym oddziale udzielany bywa po polsku.“

Rozporządzenie z 27-go października 1873 r. później zatwierdzone królewskim nakazem, zachowało swe znaczenie nawet w latach od 27 października 1873 r. aż do 26 lutego 1894 r. pomimo rozporządzeń ministeryalnych z dnia 7 września 1887 r. i 6 października 1887 r., któremi to rozporządzeniami zniesiono w Księstwie naukę innych przedmiotów w szkole w języku polskim. W sejmie pruskim oświadczył minister Gossler dnia 25 stycznia 1888 r., że rejencya nie narusza nauki religii w języku polskim i wyraźnie zaznaczył, że zniesienie nauki polskiej w innych przedmiotach bynajmniej nie odnosi się do nauki religii.

T. U. II. No. 2992. Rejencya bydgoska rozporządziła dnia 10 sierpnia 1887 r., że nauczycielom nie przysługuje prawo zabraniania dzieciom pozdrowienia: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus“. Dnia 24 listopada 1890 roku rozporządza (U. T. II. No. 5478) rejencya bydgoska, że jeżeli w szkole są dzieci narodowości niemieckiej i polskiej, to przed rozpoczęciem nauki mają najpierw dzieci polskie odmawiać pacierz po polsku, a potem mają dzieci narodowości niemieckiej odmawiać pacierz po niemiecku.

J. No. 1912. T. II. W następnem rozporządzeniu rejencyi bydgoskiej z dnia 24 maja 1893 nakazuje rejencya inspektorom szkolnym, że dzieci, które zaczęto w szkole uczyć religii w języku polskim, mają naukę pobierać w języku polskim, aż do wystąpienia ze szkoły.

B. No. 5222. Czasowo ostatniem publikowanem, najważniejszem jest kilkakrotnie już wspomniane rozporządzenie ministeryalne z dnia 16 marca 1894 wydane z rozkazu królewskiego z dnia 26 lutego 1894 r. Z rozkazu królewskiego nakazał p. minister rejencyi bydgoskiej, żeby *dzieci uczyć nawet czytać i pisać po polsku w szkole,, by mogły zrozumieć wykład religii w języku polskim.* P. minister nadmienia, że odnosi się rozporządzenie to królewskie do tych szkół, w których i o ile dzieci pobierają według powyżej przytoczonego rozporządzenia naczelnego prezesa z dnia 27 października 1873 roku naukę religii w języku polskim. Łącząc naukę języka polskiego z nauką religii w języku polskim podnosi p. minister, że *ojcowie lub opiekunowie stawić muszą odnośny wniosek.* Rozporządzenie to ministeryalne wydane na rozkaz królewski, zatwierdza wyraźnie rozporządzenie prezesa z dnia 27 października 1873 r. które — jak wspomniałem — nakazuje naukę religii w języku polskim. Wskutek tego rozporządzenia ministeryalnego, które wydano na specyalny rozkaz królewski z dnia 26 lutego 1894 rozporządziła rejencya bydgoska pismem z dnia 24 marca 1894 r. wystosowanem do wszystkich inspektorów szkolnych (U. II. No. 1097):

„Najpierw odczekać należy wniosku ojców lub opiekunów. — Wniosku tego o naukę w języku polskim nie można zastąpić podaniem dozoru

---

wicz (3-go maja 1798 r.)[8]. Wkrótce nawiązały się przyjazne stosunki między Legionistami a ludnością rzymską, nabierającą zaufania do pobożnych przybyszów, a niezbyt przychylną Francuzom.[9]

Tenże Kniaziewicz odznaczył się świetnie w pierwszej bitwie pod Magliano, zdobywając szturmem okopy neapolitańskie, potem pod Fallari z garstką ludzi pobił oddział księcia de Saxe, wziął do niewoli 3000 jeńców i 12 dział, za co mianowany został generałem brygady. Przyczynił się też głównie do wygrania bitwy pod Civita Castellana (4-go grudnia r. 1798) i do zajęcia potężnej warowni Gaety (29-go grudnia r. 1798).[10]

Dzięki Polakom upadł nieprzyjaciel zupełnie, Neapol poddał się, a na gruzach burbońskiej monarchii powstała *rzeczpospolita partenopejska* (w styczniu 1799 r.) Tylko, że Polacy ten zwycięski pochód znaczyli krwią swych najwaleczniejszych i najlepszych, dążąc zawsze w przedniej straży i staczając nader uciążliwe walki z bandytami i powstańcami.[11]

W nagrodę za tyle poświęceń Dyrektoryat w Paryżu wyraził potem Polakom największe pochwały i wdzięczność Francyi, gdy generał Championnet zlecił Kniaziewiczowi zaszczytne składanie temuż Dyrektoryatowi chorągwi zdobytych na Neapolitańczykach. Dnia 8 marca 1799 r. odbyło się uroczyste oddanie sztandarów na dziedzińcu pałacu luksemburskiego w obecności Kościuszki i zaproszonych Polaków.

(Ciąg dalszy nastąpi).

---

[8]) Jenerał Karol Kniaziewicz mający obecnie lat 37, urodził się w Kurlandyi pod Mitawą, gdzie ojciec jego zarządzał dobrami księcia Stanisława Poniatowskiego. Nie znał wcale jeszcze polskiego języka, gdy przywieziono go do korpusu kadetów w Warszawie. Wstąpiwszy do wojska odbył kampanię r. 1792 i w niej się odznaczył, a podobnie jak z Dąbrowskim dopiero rewolucya r. 1794 rozpłomieniła w nim uczucia patryotyczne i rewolucyjne. -- Limanowski, 32.

[9]) Jeden tylko z legionistów padł przez pomyłkę ofiarą skrytobójczego zamachu. Był to Stach Świstacki, bohater z pod Racławic. — Sokołowski, IV, 1280.

[10]) Gaeta miała 70 dział i 2000 załogi. Zdobyto przytem wiele koni a pod Mondragone zabrano stadninę króla neapolitańskiego, z której utworzony został pułk kawaleryi polskiej z 300 ludzi złożony. Szefami szwadronów zostali: Eliasz Tremo, Biernacki i Berek Joselowicz, żyd, dzielny oficer z czasów Kościuszkowskiego powstania. — Sokołowski, IV, 1285, Lewicki, 380. — T. Korzon. Uzdr. Kość. i spr. Leg. Tyg ill. Warsz. 1906. Nr. 11, str. 206.

[11]) Padło w tych walkach bardzo wiele szeregowców. Zginęli porucznicy: Gosławski, Zalewski, Krause, Jabłczykowski, Varelli dzielny Tremo zamordowany okrutnie został przez dzikich chłopów neapolitańskich, ciężkie rany odnieśli kapitanowie Kosiński i Kochański. — Sokołowski j. w.

szkolnego lub wspólnym wnioskiem wszystkich ojców gminy szkolnej. Przeciwnie *każdy ojciec lub opiekun z osobna i sam dla siebie musi wniosek ten przedłożyć i oddać piśmiennie lub ustnie do protokółu nauczyciela lub inspektora szkolnego.* Wnioski przesłane piśmiennie inspektorowi szkolnemu lub nauczycielowi muszą być wzięte do osobnych akt.“

By ułatwić pracę nauczycielom ogłasza regencya w tem samem rozporządzeniu protokół, który nauczyciel musi spisać z wnioskodawcą.

Dalej powiada regencya w tem rozporządzeniu, że wymaga od inspektorów szkolnych, by zaniechali wszelkich małostkowych rozporządzeń, któreby Polacy mogli sobie tłomaczyć w ten sposób, że władza szkolna stawia choćby tylko bierny opór wykonaniu rozporządzenia tego królewskiego. Dosłownie powiada regencya: „Von den Herren Kreisschulinspektoren erwarten wir, dass sie sich aller kleinlichen Maasregeln, die von polnischer Seite die Deutung erfahren könnten, als setze die Schulaufsichtsbehörde der Ausführung der Allerhöchsten Entschliessung auch einen nur passiven Widerstand entgegen, sorgfältig enthalten werden.“

Na rozporządzenie powyższe ministeryalne z dnia 16 marca 1894 roku, wydane z powodu rozkazu królewskiego z dnia 26 lutego 1894 roku, zwracam szczególnie wciąż jeszcze uwagę, ponieważ rozporządzenie to *nie jest do dzisiaj zniesionem żadnem innem rozporządzeniem królewskiem.* A rzecz to bardzo ważna, bo jak już na wstępie zaznaczyłem, rozporządzenie to jest prawem, które zobowięzuje nie tylko Was ale także nauczycieli i regencyę. Rozporządzenie to królewskie gwarantuje Wam prawo nauki religii w języku polskim.

Słuszną racyę macie, jeżeli dopominacie się prawa Waszego, jeżeli żądacie, Szanowni Ojcowie Polacy, by dzieci Wasze uczono religii w języku polskim.

Tutaj zachodzić tylko może pytanie, czy nauczyciele religią udzielać muszą bez Waszych wniosków czy na poszczególne wnioski Wasze.

Powiedziałem, że rozporządzenie ministeryalne z dnia 16 marca 1894 łączy naukę języka polskiego z nauką religii w języku polskim i że wymieniono w rozporządzeniu tam wniosek ojców jako konieczny warunek.

Nie pytamy się, czy ten ustęp w reskrypcie ministeryalnym odnosi się tylko do nauki języka, czy też i bez tego wniosku religia po polsku musi być udzielaną. Dziś sprawa nauki religii stanęła na ostrzu noża.

Skoro wniosek taki ojca lub opiekuna jest stawiony, natenczas dziecku musi być w każdym razie religia udzieloną w języku polskim. *Stawiajcie zatem takie wnioski — a użalajcie się do p. ministra, jeżeli pomimo Waszych wniosków nauczyciel nie naucza religii w języku polskim.* .. ..

Wspomniano tutaj, że regencya na zażalenia Wasze nie odpowiada. Nie wiemy, czy regencya Wasze petycye przedłożyła p. ministrowi. Koniecznem jest atoli, by skargi Wasze doszły do uszu p. ministra. Jeżeli p. minister nie zapobiegnie natenczas nadużywaniom podwładnych władz, macie prawo udania się z petycyą do sejmu pruskiego na ręce posłów naszych. Zdarzało się atoli już kilkakrotnie, że p. minister nie odpowiadał na interpelacye posłów naszych, powołując się na to, że jemu nic o skargach na podwładnych urzędników nie wiadomo. Dla tego to kilkakrotnie interpelacye nie odniosły żadnego skutku. To też koniecznem jest wysyłanie zażaleń do pana ministra.

Tak postępując na drodze legalnej pokażecie światu, że bronicie się jak ludzie dojrzali wszelkimi środkami, które Wam prawem przysługują.

Cóż wynika dalej z przytoczonych przepisów prawnych i jak *chwilowo* prowadzić obronę, by uzyskać wykład religii w języku polskim? To jest pytanie drugie, które mi stawiliście. *Natychmiast niech każdy ojciec lub opiekun stawia piśmienny wniosek do nauczyciela, by religię dziecku jego udzielał w języku polskim.* Skoro się zadość nie stanie życzeniu temu, zrobić zażalenie do p. ministra. — Ponieważ regencya powinna według istniejących rozporządzeń działać względem nauki religii w porozumieniu z władzą duchowną, zaleca się zrobić zarazem prośbę do władzy duchownej czy to na ręce miejscowego ks. proboszcza czy też wprost do ks. Arcybiskupa, by władza duchowna zechciała poprzeć stawiony wniosek o udzielanie dziecku religii w języku polskim.

Bynajmniej nie wątpię, że panowie należący do dzisiejszego komitetu jako też inteligencya w spisaniu tych wniosków będą pomocni ludziom, którzy nie władają piórem lub nie umieją wypisać się po niemiecku.

Użalacie się, że dzieci Wasze *karzą za nieuczenie się religii w języku niemieckim.*

Ponieważ ojcowie, którzy stawili piśmienny wniosek o naukę religii w języku polskim, mają w każdym razie prawo żądania, by nauka religii była udzielaną w języku polskim, przeto dziecko karanem być nie powinno za nieuczenie się religii w języku niemieckim.

Gdyby dziecko pomimo tego miało być ukaranem za nieodpowiadanie podczas nauki religii w języku niemieckim, należy według rozporządzenia regencyi bydgoskiej z dnia 18 czerwca 1831 r. zrobić *zażalenie* na nauczyciela do przełożonej władzy, choćby wprost do ministra, — w *razie niebezpiecznego pobicia podlega nauczyciel karze sądowej,* którą się osięga przez przedstawienie sprawy prokuratorowi w Bydgoszczy. Zwracam atoli uwagę na dalszy przepis rozporządzenia z dnia 18 czerwca 1831 r., że *nie wolno rodzicom ani opiekunom nauczyciela nachodzić w szkole podczas nauki,* by go pociągać do odpowiedzialności za ukaranie dziecka. W takim wypadku mogą być rodzice karani. Również zakazuje rozporządzenie z dnia 13 sierpnia 1845 r. hałasowania lub wyzywania przed lokalem szkolnym pod grozą kary. A zwracam i na to jeszcze uwagę, że podburzanie do gwałtów lub wspólne wykonywanie gwałtów jest karygodnem według §§ 115, 130 prawa karnego kilkoletniem więzieniem. Hałasowaniem i obelgami nic się nie osięgnie, lecz ściąga się tylko karę na samego siebie a nie pomaga się sprawie samej. Wytrwałością w przeprowadzeniu zażaleń osięgnąć tylko można naukę religii w języku polskim.

Nadmieniono dalej, że zdarzały się wypadki, że nauczyciele *zatrzymywali dzieci w areszcie* za to, że nie odpowiadały po niemiecku podczas nauki religii. Kilkakrotnie dzieci uciekły lub rodzice nie zezwolili na odsiadywanie kar. Natenczas nałożono na rodziców kary pieniężne.

Zachodzi pytanie, jak się zachować w tym wypadku? *Również przeciwko tym rozporządzeniom nauczycieli należy zrobić zażalenie do przełożonej władzy a przeciwko karom policyjnym stawić wniosek do sądu okręgowego i przejść wszystkie instancye,* by osięgnąć miarodawczy wyrok najwyższej instancyi. Postępowanie to sądowe nie jest kosztownem. Skoro zapadnie pierwszy wyrok w tej sprawie, natenczas będzie można inne sprawy albo cofnąć albo też również do ostatniej doprowadzić instancyi. Sprawy te są już oddane do sądów, lecz dotąd nie ma jeszcze żadnego wyroku. Ponieważ pozytywnego przepisu prawnego nie mamy, więc kwestya, czy wnioskodawcy sprawy te wygrają lub nie, zależeć będzie od zapatrywania prawniczego najwyższego sądu na dotychczasowe przepisy.

Moje zdanie jest następujące:

Według § 48 części II tyt. 12 prawa krajowego pruskiego (landrechtu) *jest karygodnem tylko nieuczęszczanie na godziny objęte planem szkolnym.* To samo powiada rozporządzenie regencyi bydgoskiej z dnia 3 sierpnia 1887 r. Areszt nie jest objęty planem szkolnym, a zatem nieuczęszczanie na areszt nie jest karygodnem. Ponadto powiada § 52/51 części II tyt. 12 landrechtu, że dzieci mogą być jedynie za zezwoleniem rodziców karane w inny sposób jak chłostą, tylko w razie zakorzenionej niesforności lub za skłonności do występków. W danym przypadku nie jest opór dzieci ani występkiem ani niesfornością, bo dzieci wykonują wolę rodziców. A zatem nie mogą być karane ani chłostą ani aresztem. Dla tego kary te policyjne nie są mojem zdaniem uzasadnione.

Odczekać atoli — jak wspomniałem — trzeba wpierw wyroku najwyższego sądu, a chwilowo w tych razach natychmiast wnieść o sądowe rozstrzygnięcie sprawy, bo wniosek taki można stawić *tylko w przeciągu tygodnia po dostawieniu policyjnego nakazu kary.* W przeciwnym razie nakaz policyjny jest prawomocny, a kara nałożona może być ściągniętą przez komornika.

Dalej grożą nauczyciele dzieciom, iż z powodu oporu będą musiały *chodzić do szkoły po nad 14 rok życia.* Nadmienić wypada i zwracam na to uwagę, że „Dziennik Kujawski“ ogłosił w numerze 217 z dnia 22 września 1906 r. wyrok najwyższego sądu w Berlinie, według którego wolno będzie odbierać dzieci ze szkoły z dniem, w którym skończyły czternaście lat. *Nie odnosi się wyrok ten do stosunków naszych.* Lecz ważną naukę zawiera wyrok ten dla Was, bo widzicie, że sądy nie potwierdzają wszystkich rozporządzeń policyjnych. Dla tego nie powinny groźby takie oddziaływać na Wasze postanowienia.

Straszą Was i dzieci Wasze *zniesieniem wakacyi szkolnych.* Teraz wakacye te już są ustanowione. Częścią dzieci już są na feryach, a do przyszłego roku daleko jeszcze. Do tego czasu stosunki się zmienią, bo będziemy mieli wyroki sądowe w sprawie języka wykładowego.

To też strachy te i groźby na postanowienia Wasze wcale oddziaływać nie powinny. Miarodawczem dla Was powinno być tylko to przekonanie, że wypełniacie Wasz obowiązek jako ojcowie rodziny, by dzieci uchronić od zdziczenia i utrzymać je wiernymi członkami Kościoła katolickiego i prawymi obywatelami społeczeństwa — to przekonanie, że przepisów prawnych nie przekraczacie, żądając wykładu religii w języku polskim. To przekonanie powinno być dla Was zachętą i bodźcem, by nie zatracać i nie pozwolić sobie ukrócać praw, które Wam przysługują na mocy rozporządzenia naczelnego prezesa z dnia 27 października 1873 r. a zatwierdzonego rozporządzeniem ministeryalnem, wydanem na rozkaz królewski z dnia 26 lutego 1894 r.

Kończąc ten mój pogląd na istniejące prawa i przepisy pruskie, jeszcze raz zestawiam, jaką być powinna Wasza obrona w sprawie nauki religii:

1. Stawiać wnioski do nauczycieli o udzielanie religii w języku polskim.
2. Użalać się do władz przełożonych w razie nadużyć ze strony podwładnych urzędników.
3. Wytrwałość w przeprowadzeniu rozpoczętej obrony.

Obronę, którą przeprowadzacie, Szanowni Ojcowie, przeprowadzacie w sprawie świętej, w sprawie religii, której tak jak Wy z wytrwałością i zaparciem się siebie, bronili zawsze ojcowie i praojcowie Wasi. I oni wyszli zwycięzko i Wy zwycięzko wyjdziecie, bo *pod nad prawem pisanem jest prawo boskie.* Toć znaną Wam jest prawda Kościoła katolickiego, którą każdy człowiek pod utratą zbawienia wiedzieć i wierzyć powinien, że „Bóg jest sprawiedliwy sędzia, który za złe karze a za dobre wynagradza“.

Brońcie nadal praw Waszych spokojnie a wytrwale, a prędzej czy później obrona Wasza będzie i być musi skuteczną przeciwko zamachom na wiarę naszą katolicką. W walce urzędników z dziećmi Waszemi polskiemi, Wy jako obrońcy występujecie — to zaszczyt dla dzieci, to chluba dla Was.

Nie upadajcie na duchu i brońcie praw Waszych.

Rosmersholm.

Dramat Henryka Ibsena.

Rosmersholm, to siedziba starej rodziny Rosmerów. Zamek to starożytny, może na urwiskach skalistych gór wzniesiony, gór Norwegii.

To kraj zimny, lud do wszystkiego, co stare i dawne przywiązany, oswojony z równym biegiem życia i doń przywiązany, niechętny nowatorstwu i nowym prądom.

Niepospolitej trzeba było siły, by lud ten na „nowe pchnąć tory“ i „zielone przypomnieć mu lata.“

I targał te więzy przywiązania do tego co było potęgą swego ducha i mocą słowa Henryk Ibsen. A słowo to nie w ciężkie przybierał formy ksiąg rankowych — ale nadawał mu formę uchwytną, okiem widzialną w teatrze, na scenie. Henryk Ibsen pisywał dramaty. Dramaty te pełne są siły sarkazmu i ironii, pełne siły, wskazującej narodowi nowe drogi.

Rzadko czerpał Ibsen do dramatów swych wątek myśli z przeszłości. Nie, pole jego pracy — to dziś z jego wadami i błędami, a cel jego, to — lepsze jutro.

Do rzędu tegoczesnych dramatów — napisany był w latach ośmdziesiątych — należy także Rosmersholm, odegrany w teatrze naszym ubiegłej soboty.

Rosmersholm, to siedziba Rosmerów. Rosmerzy, to starodawny ród norweski, szlachta z rodu tego wywodzili się albo wodzowie wojska, albo wodzowie ducha.

Ostatni z Rosmerów — to pastor, przeznaczony do przodownictwa duchowego. Pod wpływem kobiety, Rebeki West wyzwala się Rosmer z krępujących go pęt dotychczasowych wierzeń, porzuca wiarę ojców. — Pragnie-

---

Z dziejów ucisku języka polskiego

w szkole pruskiej.

Na wiecu w Kościanie, który w sprawie nauki religii w szkole odbył się dnia 16-go września b. r., nakreślił w przemówieniu swoim *ks. prob. dr. Surzyński* historyczny szkic germanizacyi przez szkołę pruską. Przemówieniem jego, pracować dla nowoczesnych prądów, dla swobody nieokiełznanej ducha i myśli. Wierzy, że ta swoboda, to szczęście ludzkości.

W pośród drogi staje widmo winy śmierci swej żony. To go łamie i nie pozwala mu iść w obranym kierunku. „Tylko niewinni mogą mieć to przekonanie, że praca ich narodowi rzetelne przyniesie owoce“.

Wtenczas przyznaje się Rebeka West, że to ona doprowadziła żonę Rosmera do szaleństwa, że ona to winną jest jej samobójstwa.

Dla czego? — bo pragnęła Rosmera za jakąbądź cenę pozyskać dla swej idei — swobody ducha.

Rosmer nie ufa jej słowom, i żąda, ażeby na dowód prawdy tą samą, co żona jego poszła drogą — po dobrej woli.

Rebeka West decyduje się rzucić w

wienie to posiada w chwili obecnej tak aktualną wartość, że uważamy sobie za obowiązek podać je tutaj w całości.

Zwróciwszy uwagę na to, że w Kościanie 4 miesiące temu odbył się w tej samej sprawie wiec, że wysłano po nim petycyę do ministeryum, że nie odebrano na petycyę tę odpowiedzi, że w tym czasie sprawa nauki religii w szkole więcej jeszcze się zaogniła, powiedział ks. dr. Surzyński tak:

Od lat pięćdziesięciu jestem świadkiem tej powolnie, ale systematycznie przeprowadzanej germanizacyi szkół naszych. W r. 1856 nie słyszałem w szkole ani słowa niemieckiego. Dopiero w klasie drugiej zaczęto uczyć po niemiecku przez cztery godziny tygodniowo. Wszystkich innych przedmiotów uczono po polsku. Tak samo i w gimnazyum św. Maryi Magdaleny w Poznaniu w r. 1864 wszystkie przedmioty prócz niemieckiego i historyi brandenburskiej wykładano po polsku. Powoli usuwano język polski z klas gimnazyalnych — najpierw z wyższych, następnie ze średnich, a w końcu i z klas najniższych. Nie zapomnę bolesnej chwili, gdy przed wakacyami wielkanocnemi r. 1873 ks. regens Bielewicz w wyższej prymie zapowiedział nam, że po Wielkanocy nawet i religia wykładana będzie po niemiecku! Na uczenie religii po niemiecku w średnich i niższych oddziałach gimnazyalnych ks. Arcybiskup Ledóchowski nie pozwolił, „gdyż *sposób* — mówi w okólniku do księży profesorów z dnia 23 lutego 1873 — w jaki nauka religii katolickiej powinna być dziatwie katolickiej udzielaną, określają i stanowią w Kościele katolickim *nie cywilne lecz duchowne* władze, ponieważ Zbawiciel powierzył obowiązek nauczania ludzi w wierze *Apostołom* swoim i ich następcom *Biskupom*, a nie świeckim osobom, gdy rzekł do pierwszych: *„Idźcie tedy, nauczajcie wszystkie narody“*.

Nie skończyło się na gimnazyach. Także dla szkół elementarnych dnia 27 października 1873 r. naczelny prezes poznański wydał rozporządzenie, na mocy którego wszystkie nauki, z wyjątkiem nauki religii św., śpiewu kościelnego i języka polskiego wykładane być miały po niemiecku. Dodał jednak, że, skoro dzieci będą dokładnie znały język niemiecki, wtedy i nauka religii św. wykładana będzie w średnich i wyższych oddziałach w języku niemieckim.

Trzydzieści trzy lat mija od wydania powyższego rozporządzenia. Co pozostało z rzuconych nam wtenczas okruchów polszczyzny w szkole? Mała kruszynka polskiej nauki religii na wsi i w najbliższych oddziałach szkół elementarnych miejskich.

Czyż wobec takiego postępowania królewskiej regencyi nie nasuwa się obawa, że i ta ostatnia kruszynka odebrana szkole naszej zostanie, że z czasem i w *kościele* nakażą uczyć katechizmu po niemiecku? *Czuwajmy* tedy *i módlmy się!*

Do czuwania niech nas zachęcą słowa ś. p. ks. arcybiskupa Ledóchowskiego we wspomnianym okólniku:

„Religii uczymy dziatwę, aby *religię poznała*, nie zaś dla tego, aby jej wykład miał ułatwić nabycie znajomości języka niemieckiego. Używać tej nauki w tym ostatnim celu byłoby z naszej strony *świętokradzkiem ubliżeniem najwyższej godności i powadze*, do której mają prawo wiara i moralność. Ale religii uczymy nie tylko, aby rozum człowieka zapoznać z objawionemi przez Boga prawdami i z prawidłami chrześciańskiego żywota, lecz także i przedewszystkiem, aby *wpoić w serca ludzkie zamiłowanie do tych praw* i wierność w trzymaniu się tych prawideł. Jest więc naszym obowiązkiem podawać tę naukę w sposób najzrozumialszy dla pojęcia człowieka i najprzystępniejszy uczuciom jego serca. Tym zaś sposobem, mianowicie dla dzieci, jest posługiwanie się w wykładzie tej nauki językiem rodzinnym, którego najdelikatniejsze odcienia są każdemu znane, zrozumiałe i żadnego wysilenia umysłu nie potrzebujące, aby były zaraz i łatwo pojęte“.

Słowa powyższe wielkiego wyznawcy i więźnia za świętą sprawę Kościoła niech nam dodadzą otuchy do wytrwania w obronie świętych praw naszych! My wszyscy wiemy, jak wielkie niebezpieczeństwo grozi młodemu pokoleniu. Przedstawił je pięknie na początku mowy swej, wygłoszonej na wiecu w Poznaniu dnia 7 marca 1878 r., nasz Arcypasterz ks. dr. Stablewski, ówczesny proboszcz wrzesiński i poseł do parlamentu, porównywując położenie nasze obecne pod względem religijnym do położenia nadwiślańskich mieszkańców w chwili, kiedy królowa rzek naszych, niedaleko ujść swoich wraz z Nogatem rozleje wszędy fale i grozi zerwaniem tam i grobli; jak tedy wszyscy bez różnicy stanu i wieku spieszą stawiać zapory, tak i to zgromadzenie wiecowników jest dowodem, że i my zrozumieli-

---

potok młyński — wtenczas Rosmer idzie z nią.

Oto ponure tło dramatu ibsenowskiego Rosmersholm. O Rosmera walczą dwa przeciwne prądy polityczne — zachowawcze i postępowe. Pierwsze przedstawia rektor Kroll — drugie, postępowe redaktor Mortensgard i Rebeka West.

Intryga na Rosmera zręcznie jest zarzucona — ulega jej, ale ginie. Po co? — bo nie znalazł, utraciwszy dawną wiarę, dość siły w sobie, by oddać się na usługi nowej.

Ponure tło — ponury dramat — ponure myśli — a koniec jej: śmierć. Dlaczego śmierć — tego autor nie uzasadnia. Każe przyczyny jej raczej szukać w charakterze Rosmerów, których dzieci nie płaczą, a od szóstego roku nigdy się nie śmieją.

Ibsen chce powiedzieć, że tacy ludzie, takie maryonetki życiowe, czy ze starą czy z nową wiarą przeznaczone są prędzej czy później na zagładę, na wymarcie.

Czy tak jest istotnie? — Pytanie to warte rozwagi...:

. . . .

O Rosmersholmie, jako utworze dramatycznym trudno powiedzieć, by budził w widzu jakieś szczególne napięcie ciekawości i obawy — zmusza atoli do pilnego śledzenia swej myśli przewodniej. Obrazy rozwijają się na scenie podobne do siebie — niema ożywienia akcyi.

Ale dla tego właśnie aktorzy tem większe mają trudności w akcentowaniu i cieniowaniu zmian myśli i poglądów.

Najtrudniejsze zadanie w roli Rebeki West — miała p. Bogusińska, rolę Rosmera miał p. Bogusiński, Krola — p. Zawierski a Mortensgarda — p. Jaracz. Nie chcąc banalnych wypowiadać komplementów o dobrem wywiązaniu się z swego zadania, o doskonałem oddaniu ról, a nie mogąc się w piśmie tygodniowem szczegółową zająć krytyką, to tylko powiem, że artyści role swe pojęli w myśl autora i starali się oddać je jak najrealniej.

Epizodyczną postać nauczyciela Rosmera — Ulryka Brendla — odtworzył p. dyr. E. Ryger.

Przedstawienie poprzedził wykład krakowskiego literata p. T. Trzcińskiego. Tak wykład jak i myśl samą wprowadzenia widza w krąg niepospolitych myśli Ibsena ze strony dyrekcyi trzeba przyjąć z należytem uznaniem. *Is.*

śmy potrzebę oparcia się tej powodzi, co nas zalewa i w każdą ciśnie się szczelinę, największe zaś niebezpieczeństwo *grozi szkole — grozi dziatwie naszej*. Jakie zapory przeciw zalewającej naukę religii niemczyźnie dotąd postawiliśmy? Czyśmy święte obowiązki nasze w tym względzie wykonali?

Słychać o płaczu i o aresztach dzieci!

Do papieża Pawła V. przybyło poselstwo z Polski z prośbą o relikwie świętych Męczenników. „Relikwii chcecie? — odrzekł papież: *weźmijcie garść ziemi polskiej, zduśccie ją, a popłynie z niej krew męczenników!*“

Szanowni Ojcowie! Biorę dzisiaj garść naszej ziemi, wyduszam ją i patrzę; jakiś płyn się ukazuje, kropelka za kropelką, coraz go więcej, coraz silniej wybucha, całe strugi cieką — ale to nie krew! To *woda* jasna, przejrzysta, ale okropnie gorzka!... To *łzy* dzieci naszych, cierpiących za polską naukę religii św.

Tak! Dzieci cierpią i modlą się. A ojcowie i matki, czy obowiązek swój wykonywują? Czy dzieciom swym jasno i wyraźnie powiadają, jak one w szkole postępować mają? Czy panuje między ojcami i matkami jedność w parafii — co do nauki religii? Niech sumienie na to im odpowie!

Tak jest — szanowni ojcowie, w jedności siła nasza, w *dobrze zorganizowanej pracy* nadzieja zwycięztwa. Po strasznym ucisku pod Faraonami egipskimi naród żydowski w jeden błagalny okrzyk połączył głosy swoje. Wtedy rzekł Bóg do Mojżesza: „Wołanie synów Izraela doszło do uszu moich i wysłuchałem je“. I otóż potomkowie Jakóba poprzedzeni ognistym słupem, wyszli wolno z ziemi ucisku, z pod jarzma Faraonów, ku ziemi obiecanej.

I dla nas w *jedności* tylko i we *wspólnej obronie zwycięstwo i ratunek!*

Bądźmy wszyscy w głębi duszy przekonani, *że tylko język ten, w którym matka nas uczyła pacierza może umoralnić młode pokolenie i uczynić dzieci dzielnymi obywatelami i użytecznymi członkami społeczeństwa.*

Niedawno temu magistrat poznański pozakładał składy mleka oczyszczonego dla niemowląt w rozmaitych częściach miasta Poznania. Chwalebne to i prawdziwie humanitarne przedsięwzięcie! Ależ powiedzcie, kochani ojcowie, czy mleko, chociażby posiadało wszystkie przez hygienę dzisiejszą przepisane zalety w najdoskonalszym stopniu, zastąpi dziecku pokarm matki! Mówicie nie!... nigdy!... Tak samo i z nauką religii. *Choćby sam Anioł z nieba przyszedł i w innej, a nie w mowie polskiej uczył dziecko polskiej religii, żadnego by nie osięgnął rezultatu i nigdyby dziecka prawd wiary i bojazni Bożej nie nauczył.*

Przekonani o świętości naszej sprawy, nie przestaniemy protestować na wiecach przeciw niemieckiej nauce religii w szkołach i w kościołach. Nie zrażajmy się chwilową postawą rządu, lecz ciągle wołajmy o wymierzenie nam sprawiedliwości; a minister oświaty nie będzie miał wymówki, *gdy posłowie zainterpelują go w tej sprawie w sejmie*, nie powie, że żadne skargi, ani protesty ze strony ojców i matek go nie doszły.

Ażeby zaś nie upaść na duchu, czytajmy pilnie katolickie *gazety polskie*. Czego ksiądz wam, kochani ojcowie, na ambonie powiedzieć nie może, to wam dopowie gazeta... *Kochajcie prasę naszą*, która was codziennie do obrony świętych praw waszych napomina. *Niech nie będzie domu polskiego bez gazety polskiej.* Ojciec św. Pius IX. powiedział, że gdyby św. Paweł Apostół miał rozpocząć na nowo dzisiaj swą pracę apostolską, to nie zadowolniłby się kazaniami, ale pozakładałby wszędzie gazety i przez prasę rozkrzewiałby wiarę i dobre obyczaje.

Położenie nasze jest przykre i nader bolesne. Każdy się pyta: co dalej będzie? Jak się ta walka skończy?

Na pociechę powiedzmy sobie, że w dziejach narodów były twardsze chwile, były położenia opłakańsze. Tu w Kościanie w czasie walki kulturnej gorzej było, jednak słuszność i sprawiedliwość zwyciężyła, bo prawdzie sam Zbawiciel tryumf przyobiecał, gdy powiedział: „Prawda was wyswobodzi“.

Nie obawiajmy się upadku sprawy naszej!

Petycye, skargi, rezolucye i protesty nasze to *dopiero wysunięte forpoczty w obronie polskiej nauki religii.* I one swoje zrobią, ale choćby je wystrzelano, to jeszcze nie upadajmy na duchu. Mamy twierdzę niezdobytą, z której nas nic wyprzeć nie zdoła, a tą twierdzą jest:

Dom polski i katolicki.

Bracia! Widzę tu między wami przeważnie ludzi pracy, zajętych cały dzień staraniem o kawałek chleba. Wychyba nie macie dość czasu, aby w tej twierdzy pełnić służbę wojskową — ale *powtórzcie to, co wam tu mówię, waszym matkom, żonom, siostrom i córkom — one was w tej służbie zastąpią.*

Was i matki wasze i żony wasze, siostry i córki wasze, was wszystkich wzywam *pod broń*, ale nie pod tę, co siecze, kole, lub zabija, lecz tę, *co ratuje od zguby*. Weźmijcie w rękę *broń książki polskiej, katechizmu polskiego, pieśni polskiej i uczcie w domu czytania i pisania polskiego, polskiego katechizmu i polskiej pieśni kościelnej.* A jeśli wytrwacie w tej twierdzy polskiej, wtedy żadna germanizacya szkodzić wam nie będzie, wtedy dzieci i wnuki wasze

„Gdy stanąć będą miały u wieczności progu,
W polskiej mowie polecą duszę swoją Bogu“.

. . . .

Tak mówił ksiądz do parafian swoich. Te wskazania, które on dał tym, którzy opiece jego są powierzeni, te wskazania dotyczą się wszystkich parafii, wszystkich Polaków-katolików. One wskazują nam drogę obrony przeciwko niemieckiemu językowi w religii w szkole i drogę przeciwdziałania germanizacyi i demoralizacyi polskich dzieci. Jest to droga, którą społeczeństwo nasze pójść — powinno.

Ważna sprawa.

W tych dniach odebraliśmy z grona młodzieży, o której wiemy, że sprawami narodowemi zajmuje się szczerze, żywy bierze udział w pracach narodowych i w kołach organizacyi narodowych, artykuł obszerny, zastanawiający się nad pytaniem: jaka będzie nasza przyszłość.

Po rozważeniu spokojnem tej sprawy doszliśmy do przekonania, że obowiązkiem naszym jest, zastanowić się nad tym objawem, zastanowić się nad sposobem myślenia i wniknąć w pragnienia tej naszej młodzieży.

Jaka będzie nasza przyszłość? Nadesłany nam artykuł powiada, że walka, jaka toczy się na naszej ziemi pomiędzy żywiołem nam wrogim, z systemem, który jawnie i bezczelnie woła: germanizujcie Polaków, że ta walka zmusza każdego do *porównywania* stron i sił walczących.

Po wrogiej nam stronie stoi 60 milionów Niemców — i pruski rząd — my wobec tego stanowimy garstkę 4 milionową. Z tego musiałby wynikać wniosek, że w tej walce my ulegniemy, gdyby tu chodziło *tylko* o walkę na pięści. Ale — powiada autor wspomnianego artykułu — to także walka duchowa, a w tej walce my jesteśmy przeciwnikowi *równi*, więc *my* zwyciężymy. Autor pomimo tego pojmuje to zwycięstwo nasze zupełnie — cieleśnie, mówi o postawieniu stopy na piersi powalonego o ziemię przeciwnika.

Czyż istotnie wszystkie szczegóły tego rozumowania polegają na prawdzie?

Czyż na prawdę cały 60 milionowy naród *niemiecki* bierze w tej walce ta-

ki udział, jaki mu przypisuje autor pytania: jaka będzie przyszłość nasza?

Otóż dość spojrzeć w pisma hakatystyczne, na ich wściekłość, jaką miotają się na tych Niemców, którzy pomimo ich zjadliwego ujadania na „polskie niebezpieczeństwo“, nie godzą się ślepo na ich dążności, ażeby przekonać się, że niezupełnie mają racyę ci, którzy mówią, że wszyscy Niemcy dążą do zgermanizowania Polaków.

Pragną by tak było — hakatyści, ale chwała Bogu i wśród Niemców są jeszcze ludzie, którzy hakatystom prosto w oczy powiadają, że są szowinistami, że ich polityka dla Niemiec jest szkodliwą.

Niema więc w sprawie polskiej wśród Niemców jednolitości i jednomyślności — i to jest bezwątpienia *nasza* korzyść.

Racya za to jest najzupełniejsza w tem, że rząd jawnie i głośno przyznał się do tej samej polityki, jakiej pragną hakatyści, a dążeniem jego jest: zgermanizować Polaków za każdą cenę!

Czy to się stanie?

Weźmy tutaj pod rozwagę czas, jaki już pod rządem pruskim przebywamy i zastanówmy się nad tem, jakie kolcje przechodził w tym czasie rozwój narodowy idei naszej.

Kto był Polakiem — i jakim on był Polakiem w chwili rozbioru? Polakiem był jedynie szlachcic — a jakim był Polakiem dowodzą fakta licznego udawania się tej szlachty w służbę pruskiego dworu, i poddania się rządowi pruskiemu, gdy tenże zażądał złożenia przysięgi wierności pod grozą utraty szlachectwa.

Lud i mieszczaństwo, choć polskiem było, nie wiedziało o swojej polskości, brakło mu narodowej *świadomości.*

Rząd pomimo przyrzeczeń i zapewnienia nam praw do naszej odrębności narodowej od samego początku nosił się z planami germanizacyi.

Brakło tylko wówczas Prusom, które nie były jeszcze tą potęgą pierwszorzędną jak dziś, *brakło im siły.* Skrępował je nareszcie na jakiś czas kongres wiedeński, na mocy którego wszystkie trzy rządy zaborcze zobowiązały się dać Polakom narodowe instytucye — o miedzę było Królestwo Polskie z polskim rządem i polskiem wojskiem. Prusy wówczas szanowały traktat wiedeński.

Gdy się jednakże karta dziejów odwróciła, a Królestwo Polskie straciło swoją samodzielność, w Prusiech polityka germanizacyjna co raz wyraźniejszych nabiera cech.

Nadeszły dla Prus lata tryumfu — zwyciężają Danię (1864), Austryę (1866) i Francyę 1870/71, tę Francyę, która od Napoleona I miała sławę niezwyciężonej!

Na gruzach sławy Francyi wznosi się — pod grozą krwią francuską zbroczonej rękawicy Prus — jedność narodowa niemiecka pod widomym znakiem niemieckiego cesarstwa (Rzeszy niemieckiej), a na czele król pruski, jako niemiecki cesarz.

Po takiem zwycięstwie nabrały Prusy ślepego przekonania i zaufania do swojej siły. W tem przekonaniu porwały się: na Kościół i Polaków.

Kulturkampf! — żyje jeszcze pokolenie, które go pamięta, i które *zwyciężyło.*

My ten kulturkampf — ale kulturkampf *narodowy* przechodzimy dziś. Początek jego datuje czasów zwycięstwa w wojnie francuskiej. — Przeprowadzono język *urzędowy* — naturalnie niemiecki, odebrano szkołom średnim język polski — odebrano go i szkołom ludowym.

Dziś bronimy resztek praw tego języka — w wykładzie religii.

Germanizacya dzielnic polskich tego chcieliśmy udowodnić szła ręka w rękę ze wzrostem potęgi pruskiej.

Ale potęga ta w tym czasie — *nie* sama rosła. Był w chwili rozbioru nieświadomy swej narodowości — lud, było nieświadome mieszczaństwo. A dziś i tak potęga urosła — a niech nam kto wskaże taką potęgę, która uświadomionemu Polakowi zdoła narodowość jego odebrać?!

Takiej potęgi po prostu nie ma. — Oto też przyczyna, dla czego wszystkie najgorętsze usiłowania uświadomionych Polaków skierowane są ku temu, by i te resztki ludu naszego, które jeszcze świadome nie są, — uświadomić. *Uświadomienie* bowiem jest najsilniejszym puklerzem przeciwko nawale germanizacyjnej. Może pozostać uświadomionych Polaków trzech, dwóch, nawet jeden tylko — a tego jednego nie zgermanizują ani hakatyści, ani rząd, ani też nawet owe 60 milionów Niemców, chociażby podzielały dążności germanizacyjne rządu i hakatystów.

Otóż to jest przyczyna, dla czego my o przyszłość naszą obawiać się nie mamy potrzeby. Rosnące uświadomienie narodowe nas od tego niebezpieczeństwa zasłania.

Skąd jednakże to pytanie, skąd ta wątpliwość w przyszłość naszą?

Nie wystarczy — naszem zdaniem — jeżeli wątpliwość tę wobec powyższych wywodów nazwiemy niedorzeczna, niemądrze też byłoby nazwać ją zbrodniczą. Tem odstraszylibyśmy i może odstręczylibyśmy od pracy narodowej tych, którzy te wątpliwości albo obawy mają.

My uważamy objaw ten w pewnej mierze w naszem społeczeństwie za usprawiedliwiony. Dla czego?

My sami w otoczeniu umysłowości niemieckiej, skłonnej do bałwochwalstwa wobec siły materyalnej jako to wojska, armat, karabinów, fabryk, przemysłu, handlu i bogactwa pomimo woli naszej tem bałwochwalstwem się przejęliśmy. Toż we wsi, kto imponuje? — Zwolniony ze służby wojskowej żołnierz, gdy opowiada o marszach i manewrach, i robotnik, który wrócił „ze świata“ i opowiada o tylu kominach fabryk, jak u nas drzew w lesie!

A wszakżeż ta siła jednak nas nie zmogła. Nie potrzebujemy więc wobec niej tracić ani otuchy ani odwagi do dalszej walki — raczej winniśmy się wyzbyć bałwochwalstwa tej siły, bo z tą chwilą upadną wszelkie obawy o to, jaka będzie nasza przyszłość.

Jedno jeszcze na koniec. Zauważyliśmy skłonność do tego, ażeby wystawiać sobie zwycięstwo nasze jako postawienie stopy na piersi powalonego przeciwnika.

Tak stanowczo naszego zwycięstwa wystawiać sobie nie można. Walka, którą my toczymy o polskość naszą, to nie jest walka dwóch siłaczy, z których jeden drugiemu koniecznie musi porachować kości. Nie — my w obronie ideałów naszych nie pójdziemy walczyć do cyrku, do którego nas tłoczą hakatyści — my nawet hakatystom nie mamy ochoty gruchotać kości.

My pojmujemy walkę naszą nie cieleśnie, nie zmysłowo — ale duchowo i idealnie. Zwycięstwem w tej walce już będzie to, że nie pozwolimy, aby hakatyści dopięli swojego celu, tj. że się *nie damy zgermanizować!*

Na dobrej drodze.

Pisma nam wrogie w rodzaju „Posener“ i „Berliner Tageblattu“ starają się znaczenie oporu dzieci przeciwko niemieckiej nauce religii umniejszyć. Donoszą one przeto, że ruch ten słabnie już i rychło się skończy.

Mamy uzasadnione przekonanie, że te proroctwa wrogów naszych okażą się fałszywemi. Ale dlaczego to owe pisma tak skwapliwie wmawiają w siebie i w swych popleczników, że opór dzieci naszych słabnie?

Rozumieją one dobrze skutki tej akcyi — wiedzą, że nie będzie to połączone z honorem i zaszczytem dla państwa, gdy przed „małymi“ będzie musiało ustąpić bohaterami. Ale to już

nie nasza rzecz, że na tej *walce z dziećmi* cierpi powaga państwa, które mieni się najpotężniejszym i niezwyciężonym.

Rozumie to też dobrze i rząd sam, jak dowodzi tego wiadomość podana przez „Dz. Berliński.“ Otóż według tej wiadomości miał minister oświaty dr. Studt powiedzieć do ks. kardynała Koppa, że w sprawie niemieckiej nauki religi rząd posunął się *zadaleko*, ale nie wie, jakby się teraz cofnąć, ażeby przez to nie ucierpiała powaga państwa.

Wprawdzie zaprzeczyły tej wiadomości pisma półurzędowe niemieckie, poparł ją atoli „Polak,“ którego właściciel poseł p. Korfanty słyszał ją z ust wiarogodnych „w kilka minut po rozmowie“ ministra z ks. kardynałem Koppem.

Zdaje się więc wiadomość ta być zupełnie wiarogodną — a gdyby miała nie być zupełnie prawdziwą, to — powiada „Germania“ — wkrótce dojdzie do tego, że orzeczenie ministra Studta stanie się dla rządu przekonaniem.

Ale od kogo to zależy? Zależy to od rodziców i dziatek polskich — oni muszą przekonać rząd, że posunął się za daleko, i że cofnąć się *musi* bez względu na urojoną powagę państwa.

Kiedy to nastąpi, to trudno nam dziś przewidzieć, ale nastąpi niewątpliwie, jeżeli społeczeństwo w tym kierunku, jaki w sprawie szkolnej w ostatnim tygodniu się uwydatnił, postępować będzie świadome swego celu i bez obawy dalej.

Możemy tu wskazać na kilka przykładów. Przypominamy tutaj, że regencya nie mogąc nakłonić dzieci do zaniechania oporu, usiłowała w Gostyniu wpłynąć na dozór szkolny, ażeby uchwalił większą sumę na nowych nauczycieli.

Wniosek ten — w Gostyniu został odrzucony. Taki sam wniosek stawiony został przez radców regencyjnych w Kościanie, Kiełczewie, w Śremie i Bninie.

W Kościanie powoływali się radcy regencyjni wręcz na to, że opór dzieci wymaga więcej sił nauczycielskich — więc dozór szkolny uchwalić ma odpowiednie wydatki. Radcy nie chcieli także, by w sprawie ich wniosku odbyła się jakakolwiek dyskusya.

Zabrał jednakże w sprawie tej głos ks. dr. *Surzyński*, oświadczając się przeciwko wnioskowi rządu, a gdy nadto p. dr. Zawadzki zaprotestował przeciwko wykluczeniu dyskusyi, panowie radcy zwrócili się do drzwi. Wtenczas na odchodnem rzucił im ks. dr. Surzyński na pożegnanie: „Nie dziwię się, że wychodzicie, bo drogę do Kanosy*) znacie.

Wniosek rządowy następnie został odrzucony.

Ten sam los spotkał wniosek tych samych radców w Kiełczewie pod Kościanem — a następnie w Śremie i Bninie.

Wszędzie jednakże zdaje się rząd będzie chciał postawić na swojem wbrew uchwałom dozorów i rad szkolnych, i nowych nauczycieli, a z nimi i większe wydatki gminom *narzuci*.

Czy atoli na owych objazdach i dzięki temu, że wszędzie wnioski radców regencyjnych bywają odrzucane przez dozory i rady szkolne — czy na tem powaga państwa nie cierpi?!

Odpowiedź na to pytanie nas boleć nie będzie, nie naszą też rzeczą rozważać ją sobie, polecamy ją natomiast tem pilniejszej rozwadze — ministrowi oświaty dr. Studtowi. Czy rząd wnioskami swymi do gmin o powiększenie sił nauczycielskich znowu się nie posunął — za daleko?

Zostawmy jednakże rząd tymczasem jego losowi — nam pilniejsze sprawy leżą na sercu, a mianowicie to, co się dzieje w łonie naszego społeczeństwa w tej sprawie.

Otóż nasamprzód szczerze się cieszymy, że wszędzie dokąd rząd z wnioskami swoimi się udawał, rady szkolne spełniły swój obowiązek. Nie mamy i nie będziemy więc sobie pod tym względem mieli nic do wyrzucania.

Nie na tem atoli koniec. Wszędzie opór dzieci nie tylko nie ustaje, lecz się wzmaga i przybiera coraz szerszy zakres. Przyczyniają się po temu nie mało wiece, które się odbywają w różnych stronach.

I tak odbyły się ubiegłej niedzieli wiece w sprawie szkolnej w Czempiniu i Strzelnie. A co tu szczególnie na uwagę zasługuje, to jest to, że po raz pierwszy wzięli w nich udział także *prawnicy* — w Czempiniu p. mec. *Drwęski* z Poznania, a w Strzelnie p. mec. *dr. Swinarski* z Inowrocławia.

Szczerze z tego cieszyć się należy, bo w trudnej tej sprawie — szkoła dotąd nie posiada jednolitego prawa — prawnicy szczególnie powołani są do tego, ażeby uchronić broniących języka polskiego ojców i matki od niepotrzebnych kar.

Jednem słowem, z tej akcyi, która się w ostatnich tygodniach rozwinęła w sprawie szkolnej, ten wysnuwamy wniosek i przeświadczenie, — że na dobrej jesteśmy drodze. Jeżeli tak będziemy postępować dalej, to rząd niechybnie umocni się w tem przekonaniu, którego nabrał już minister dr. Studt, że posunięto się za daleko, i że ustąpić należy, bo inaczej powaga państwa pruskiego jeszcze więcej ucierpi.

*) Kanosa, a właściwie Canossa starożytny zamek włoski, w którym w 11 stuleciu cesarz niemiecki H e n r y k IV upokorzył się przed papieżem Grzegorzem VII. Ztąd powstało przysłowie niemieckie o „drodze do Canossy.“

Z Warszawy.

(Własna korespondencya „Pracy“.)

22 września 1906 r.

Po krwawych wypadkach ostatnich nastało chwilowe uspokojenie. Odbija się ono na fizyonomji Warszawy. W chwili, gdy to piszę, miasto ma wygląd normalny, niepodobny bynajmniej do tego, jaki posiadało jeszcze przed kilku dniami. Ostatnie 3 tygodnie należały do najokropniejszych.

Nieznośne zwłaszcza stosunki zapanowały po pamiętnym pogromie posterunków policyjnych w dniu 15 sierpnia. Bezustanne rewizye uliczne masowe, ciągła strzelanina, powodująca codziennie kilka lub kilkanaście ofiar, rozbestwienie patrolującego po mieście żołdactwa — czyniły pobyt w Warszawie wprost niemożliwym, przetwarzając piękną i wesołą zazwyczaj stolicę Polski w piekło prawdziwe. Jednakowe stosunki zapanowały po każdorazowym następnym zamachu rewolucyonistów. A tych zamachów mamy niemało: ostatnio strzelano na ulicy do naczelnika sądu wojennego gen. Doroszewskiego, do pułkownika żandarmów, do generała artyleryi. Odnieśli oni rany, a ten ostatni został zabity — wczoraj miał pogrzeb wspaniały. Organizacye rewolucyjne zagroziły sędziom wojennym śmiercią w razie skazywania na śmierć pojmanych rewolucyonistów i istotnie, sądy albo uniewinniają skazanych, albo stosują karę zesłania do robót ciężkich. Pierwszym wyrokiem sądów polowych było skazanie w Kielcach na śmierć 2 bandytów. Tych nie żal, boć ich zuchwalstwo uraga wszelkiemu opisowi. Rabują domy i sklepy, instytucye rządowe i prywatne, rabują w biały dzień, na ulicy, w oczach tysięcy ludzi; drwiąc sobie ze stanu wojennego, rabują z brauningami w ręku, grożąc śmiercią opornym. Nikt nie śmie nosić przy sobie pieniędzy, w rozpaczy prawdziwej są kasyerzy i inkasenci.

Zwykłą taktyką zbójów jest wpadanie do sklepów i odbieranie gotówki z kasy pod groźbą rewolwerów. Sklep z kawą „Pluton“ miał 8 razy wizytę opryszków. Ze szczególnem upodobaniem czas jakiś grabili apteki, największej dziś pono zarabiające, początkowo była moda na sklepy monopolowe, dziś pilnowane przez zbrojnych żołnierzy; później przyszła kolej na banki, po-

źniej na sklepy, dziś już nie gardzą niczem. Były wypadki, gdy na ulicy we dnie, wśród tłumów ludzi, rabusie przykładali ofiarom do głów rewolwery i wprowadziwszy do bramy, ogołacali z gotówki i kosztowności. Na Krakowskiem Przedmieściu, a więc w najruchliwszym punkcie Warszawy, bandyci zabrali kasyerowi Towarzystwa Dobroczynności 1700 rs. i zbiegli bezkarnie.

Wypadków takich mnóstwo, słyszy się o nich ciągle. Zdarzało się, że z bandytami współzawodniczyły i patrole wojskowe. Komisyoner firmy win Jukiera został obdarty przez patrol, pobity i okradziony z kilku tysięcy rubli w gotówce i wekslach. Szczęściem, jako poddany austryacki, mógł się był udać pod opiekę konsula, potem ambasadora w Petersburgu, i zajście przybrało charakter międzynarodowy. Lecz za poddanymi rosyjskimi nie ma kto się ująć, ztąd mnóstwo wypadków samowoli i gwałtu uchodzi bezkarnie, a poszkodowani uchodzą śpiesznie, kontenci, że ocalili zdrowie i życie.

Były wypadki humorystyczne: żołdactwo zaczepiło na ulicy przechodzącego Akajomowa, redaktora „G. Policyjnej,“ urzędnika do szczególnych poruczeń przy gen. gubernatorze, żądając odeń łapówki i grożąc kolbami i bagnetami. Zaledwie przechodzący obok drugi patrol wyjaśnił „nieporozumienie.“

Stan wojenny wogóle, przy całej swej surowości, posiada sporo humorystyki. Przyjezdny do Warszawy po dłuższej nieobecności a żądny lektury dziennikarskiej jegomość ze zdziwieniem niemałem przegląda pisma warszawskie. Cóż za mnogość nowych zupełnie tytułów! Niby nowe, a niby te same! Ten sam druk i papier, te same czcionki i układ dziennika, te same rubryki, kierunek i t. d., lecz inny tytuł i inny (niby) redaktor odpowiedzialny. Niejednego zadziwić musi ogromna ilość koncesyi, wydawanych przez władze na pisma coraz to nowe, codzienne i tygodniowe, poważne i humorystyczne.

Zwłaszcza te ostatnie. W ten sposób wydawcy i redaktorzy zabezpieczają się z góry od zawieszania wydawnictw. Zamkną dziś pismo wyrokiem administracyjnym, wydanym przez generał gubernatora, a jutro wydawca, zasobny w kilka koncesyi, wydaje pismo to samo tylko pod innym tytułem i z podstawionym redaktorem? Prym pod tym względem trzyma humorystyczna „Mucha,“ po raz już siódmy zmieniająca tytuł, a ciągle zawieszana, konfiskowana, a tryskająca stale humorem swojskim, godziwym, a niezrównanym, humorem politycznym, a tylko Warszawie właściwym, Warszawie, umiejącej śmiać się i dowcipkować przy najostrzejszej opresyi, ucisku i niedoli. By choć na chwilę wytchnąć, „Mucha“ już pod nazwą „Sęp“ cały ostatni numer poświęciła stosunkom zaboru pruskiego. Żałuję, że pismo to tak mało jest znanem w Poznaniu! Odbija ono korzystnie od całego szeregu pism innych, szerzących nierząd i pornografię, lub też specyalnie zohydzających naszą ideję narodową, jak to robi naprzykład „Dzwonie Polski.“

Pomimo surowego zakazu, popartego ostremi karami administracyjnemi, na ulicach Warszawy jak dawniej kwitnie uliczna sprzedaż czasopism. Rozmyślny zakaz Skalona, gdyby był przestrzeganym istotnie, pozbawić musiałby chleba setki wyrostków lub dzieci, żyjących z ulicznego kolportażu. A więc prócz pism legalnych malcy masami sprzedają na ulicach, w ogrodach, tramwajach, cukierniach socyalistycznego *„Robotnika“* i socyaldemokratyczny „Czerwony Sztandar,“ ziejące pianą i żółcią wzajem na siebie i zgodnie na nienawistną „Endencyę, mówiąc nawiasem, coraz to skuteczniej przeciwdziałającą socyalistom w terroryzowaniu polskiego robotnika.

Dla całości obrazu dodam: przy pięknym dniu jesiennym spory ruch na ulicach, w ogrodach, cukierniach, tłumy ludu i dużo dorożek. Posterunki policyjne usunięte prawie ze wszystkich punktów Warszawy, gdzieniegdzie za baryerką żołnierz pod bronią, zauważyłem też parę oddziałów wojska, maszerujących przez miasto. O rewizyach ulicznych nie słychać. Porozklejane różnobarwne afisze zapowiadają zabawy i panoramę na ul Karowej p. t. „Męczeństwo chrześcian w cyrku Nerona.“

Ku wieczorowi ruch się zaczyna zmniejszać. *Sarmata.*

Nadzieje autonomiczne Galicyi.

(Korespondencya własna „Pracy“)

Lwów, 21 września.

W życiu naszem publicznem nastała znowu chwila, która porusza wszystkie umysły i być może wywoła żywszy ruch agitacyjny, jaki już poruszył kraj z początkiem bieżącego roku. Oto w obradującej obecnie po wypoczynku wakacyjnym parlamentarnej komisyi dla reformy wyborczej postawił poseł polski, profesor Starzyński zgodnie ze zapowiedzią Koła polskiego wniosek o rozszerzenie autonomii czyli praw do Samorządu w krajach austryackich z wyjątkiem Węgier i Kroacyi.

Sprawa to zbyt ważna dla naszej przyszłości, aby ją traktować lekko np. jako środek do uniemożliwienia dojścia do skutku oczekiwanej przez wszystkich reformy wyborczej. Zarzut ten bowiem podnoszą przeciw Kołu u nas w domu na szczęście już nie hałaśliwie, ot tak dla honoru dotychczasowego opozycyjnego stanowiska, a ze stron niemieckich bardzo namiętnie. To właśnie stanowi dowód, że wniosek ten ma dla nas duże bardzo znaczenie i że był postawiony we właściwym czasie.

Cóż to jest to rozszerzenie autonomii?

Gdy Austrya w skutek nieszczęśliwej wojny z Prusami w r. 1866 uczuła się zniewoloną zmienić swój dotychczasowy ustrój państwa samowładczego i dać ludom zamieszkującym kraje do niej należące szerokie swobody obywatelskie, zażądały te ludy ustroju tak zwanego federalistycznego. Każdy kraj rządziłby się u siebie i gospodarzył według swego rozumienia i swych potrzeb na podstawie ustaw ogólnych wspólnie ułożonych, a przez te kraje wybierana rada i przez nią ustanowiony rząd zajmowałby się sprawami dotyczącemi obrony całego państwa i stosunków z innemi państwami. Żądanie to postawiły ludy przedewszystkiem słowiańskie, a więc Polacy, Czesi, Słowency, dalej Węgrzy dążący zresztą do samodzielnego państwa złączonego z Austryą tylko osobą monarchy i część Niemców hołdujących sprawiedliwości.

Zaciekłymi przeciwnikami takiego ustroju państwa była biurokracya niemiecka, bojąca się o dotychczasowe swe znaczenie i oparta na niej dynastya wraz ze znaczną częścią zamożniejszych sfer niemieckich. Wpływom tych sfer udało się przeprowadzić konstytucyę ściśle centralistyczną. Zaczęły się więc przeciw tej konstytucyi walki tem łatwiejsze do przeprowadzenia, że do rady państwa wysyłały posłów sejmy krajowe, złożone ze samych zwolenników takiego ustroju państwowego.

Sprawa zdawała się łatwą do przeprowadzenia i budziła wielkie nadzieje zwłaszcza, że na czele rządu austryackiego stał zwolennik federacyi Belcredi. Z chwilą jednak kiedy on musiał ustąpić a miejsce jego zajął zdecydowany centralista, Beust, nadzieje te zmalały a walka stała się zaciętą i Czesi prowadzili ją w ten sposób, że postawili swoje żądania, a gdy ich nie uwzględniono, nie posłali swych posłów do parlamentu.

Starali się nakłonić i Polaków do tego rodzaju walki, czego zwolennikiem wielkim był znany patryota i wielki parlamentarzysta, Franciszek

Smolka. Za zdaniem jego nie poszli galicyjscy posłowie, lecz za zdaniem również patryoty i towarzysza Smolki, Floryana Ziemiałkowskiego, który radził posłać posłów do parlamentu i starał się tam przeprowadzić żądania swobodnych bardzo praw dla kraju. Żądania te sformułowano na sejmie w r. 1868 i jakkolwiek nie uzyskano ich zatwierdzenia, jednak zostały one stałym programem dla naszych posłów do dnia dzisiejszego.

Żądania te, tak zwana rezolucya z r. 1868 streszczają się w tem: Jak posłów do rady państwa wybierać decyduje sejm krajowy; ci posłowie radzą tylko nad temi sprawami, które się odnoszą do spraw obchodzących całe państwo; wszystkie prawa potrzebne dla Galicyi uchwala sejm krajowy; państwo daje z podatków krajowi pewną sumę na opędzenie jego potrzeb; zabrane dobra koronne wracają na własność kraju; kraj ma swój rząd potrzebny do przeprowadzenia tych spraw, odpowiedzialny przed sejmem.

Niestety gwałtowne stanowisko Czechów, starania Węgrów, którzy już za Belcrediego uzyskali w znacznej części to co chcieli a bali się wielkich wpływów Czechów na państwo, nie dopuściły do tego, aby te rezolucye, nawet zmienione przez niemiecką komisyę, ale jeszcze dające nam dużo prawa, przyszły pod obrady parlamentu. Zmieniające się ciągle ministerstwa doprowadziły ostatecznie do tego, że nie będąc pewnymi naszej przyszłości, zdecydowali się nawet tacy zwolennicy naszego samodzielnego stanowiska jak Smolka pod wpływami groźby wojny francusko-pruskiej opuścić zajmowane stanowisko. Klaczko formułując sławny adres do tronu, w którym lojalność wyrażała się w znanej formule: przy Tobie najjaśniejszy Panie stoimy, będącej dewizą polityki stanczykowskiej, Smolka jest za obesłaniem rady państwa, Grocholski zostaje ministrem dla Galicyi — a rezolucye idą do kosza.

Wreszcie ministerstwo Auersperga, powołane zostało do rządu na podstawie następującego programu rezerwowego: Dotychczasowe dążenia federalistyczne usunąć można z widowni publicznej raz na zawsze przez zaprowadzenie bezpośrednich wyborów do rady państwa. Tym sposobem odbierze się podstawę dla tych żywiołów, które chciały somadzielności a przez powołanie do życia publicznego sfer dotychczas niem nie zainteresowanych i przez wskazanie im Wiednia jako źródła otrzymanych łask umocni się centralizm.

Tak też się stało mimo polskiej secessyi w radzie państwa. Austrya umocniła stanowisko biurokracyi swej a robiła rozwój społeczeństw losem z nią związanych. Odbiło się to szczególniej na Galicyi, która od tej pory stawała się coraz więcej tylko prowincyą austryacką, mającą interes w tem, aby sobie skarbić łaski wiedeńskich sektionsszefów i otrzymywać w następstwie tego ochłapy ze stołu, przy którym dobrze się pożywiali Niemcy a nawet tak radykalnie nastrojeni Czesi. Wszelkie dążenia faktyczne, prócz kilku rezolucyi partyi demokratycznej i kilku artykułów dziennikarskich, do odzyskania większej swobody w rządzeniu się we własnym domu ustały. Podjęło stronnictwo ludowe hasło wyodrębnienia Galicyi, ale uczyniło to dla celów taktyki partyjnej, aby straszyć niem stańczyków, którzy osadziwszy się dobrze w siodle rządowem, bali się jakiegokolwiek ruchu zagrażającego ich stanowisku.

Stronnictwo demokratyczno-narodowe postawiło w swym programie uzyskanie swobód jak największą sumę. Dlatego też w chwili zapowiedzi nowej zmiany konstytucyi przez zaprowadzenie nowej ustawy wyborczej rzuciło hasło w kraj: wyodrębnienie Galicyi, urządziło wiece, w tym celu liczne przeprowadziło uchwały i swem stanowiskiem zniewoliło Koło polskie do postawienia żądania łącznie z reformą wyborczą: rozszerzenia autonomii. Postanowienie swe wykonało Koło przez wniosek posła Starzyńskiego, który żądał, aby ustawodawstwo zwłaszcza karne i policyjne było zwrócone sejmowi, aby kraj miał większą swobodę w gospodarce finansowej, aby zmienić organizacyę władz sądowych i administracyjnych, a zmianę tę zostawić sejmom krajowym, które też decydują o języku urzędowym kraju, wreszcie oddać sejmom krajowym całe szkolnictwo. Żądania te nie obejmują naturalnie tylko Galicyi, ale wszystkie kraje austryackie z wyjątkiem Węgier.

Z krótkiego tego streszczenia tych czterech punktów żądań autonomicznych każdy ocenić potrafi ich wielką doniosłość. Gdyby się dało je uzyskać, mielibyśmy nasze swobody rozszerzone niezmiernie wobec tego co dziś posiadamy i sprawa warta trudu i poparcia.

Jak jednak sprawa ta stanie trudno dziś jeszcze nawet zgadywać. Zwycięstwem naturalnie była już ta okoliczność, że komisya dla reformy wyborczej zgodziła się zająć tą sprawą i wybrała dla niej osobną komisyę, która do dni 14 ma przyjść z jakimiś wnioskami. Sprzeciwiali się temu oprócz centralistów *socyalista i rusin*. Jest to bardzo znaczące dla obu tych posłów, którzy ciągle i wszędzie głoszą, że stoją na straży swobód obywatelskich i dążą do jak największego ich rozszerzenia. Stanowisko Koła polskiego jest w tej sprawie zupełnie szczere. Chce przy zaprowadzeniu szerokich swobód obywatelskich, jakie reforma wyborcza ze sobą niesie, zabezpieczyć pojedyncze narody w Austryi mieszkające przed tem, aby do ich interesów domowych nie mieszali się drudzy i aby każdy rozwijał się swobodnie stósownie do warunków wśród jakich żyje.

Los tego wniosku zawisł prawie w zupełności od stanowiska Czechów. Są oni głośnymi zwolennikami autonomii — ale oni już tyle razy zajmowali stanowisko sprzeczne z głoszonemi przez siebie zasadami, jeżeli interesa ich tego wymagały, że nie można i dziś być nawet pewnym ich stanowiska. — Najbliższa przyszłość zagadkę rozwiąże. *Bes.*

Co i jak czytać?

Chciwość czytania i bezkrytyczne pochłanianie powieści jest ogólną właściwością młodzieży, przeważnie żeńskiej. Niełatwem jest zadaniem rodziców tłumić tę skłonność, o ile nadmiernie jest rozwinięta, a zarazem umiejętnie ją wyzyskać na korzyść młodszych pokoleń.

Jakie książki są najstósowniejsze dla młodzieży?

Na to pytanie trudno dać wyczerpującą odpowiedź.

Literatura nasza w kierunku pedagogicznym bardzo jest ubogą — co do ilości, lecz nie co do jakości.

Dobre stosunkowo powieści dla młodzieży pisały: J. Śmigielska, Z. Morawska, I. Peppi i Zaleska. Nazwiska tych autorek stanowią pewną rękojmię wartości ich utworów. Osnute po części na dziejach naszych, po części na obecnych społecznych stosunkach, powieści te interesują zwłaszcza panienki — chłopców zaś mniej, gdyż każda z nich zawiera pewną dozę sentymentalności, której chłopiec nie lubi.

Dla chłopców znakomitemi są powieści Umińskiego, np. „Podróż bez pieniędzy“.

Styl jędrny i barwny, pewna cecha prawdopodobieństwa obok fantastyczności — oto główne zalety tych interesujących powieści.

W wyższym jeszcze stopniu zajmujące, szczególnie dla męzkiej młodzieży, są opowiadania W. Sieroszewskiego. Autor podróżował wiele po Syberyi,

zwiedzał osady Jakutów, Tunguzów i innych plemion syberyjskich — i z wielkim talentem opisuje kraje i ludzi.

Pewną miarę wartości utworów Sieroszewskiego stanowi powodzenie, jakiem się cieszy we Francyi. Tam utwory jego tłomaczone (pod pseudonimem Sirko) bardzo są poczytne.

Starsza wiekiem, ale bynajmniej nie staroświecka, znakomita powieść Kl. z Tańskich Hofmanowej: „Jan Kochanowski w Czarnolesie“, należy do tych książek, które pragnęłabym widzieć w ręku naszych córek i synów. — Autorka z wielką miłością i prawdą kreśli nam obraz Jana z Czarnolasu, szczególny kładąc nacisk na dwa znamienne jego rysy: wysoki polot ducha obok rzewnej tkliwości i w stosunku do rodziny. Nader barwnie i zajmująco maluje autorka życie wiejskie poety, ład, zamożność i dostatek jego domu, szczęście rodzinne zakłócone śmiercią Urszulki.

Z pomiędzy żyjących naszych autorów szczególniej polecenia godnym dla młodzieży jest *Prus* (Głowacki), jeden z najsympatyczniejszych pisarzy i publicystów warszawskich. Powieści i nowele Prusa są jakoby pięknym bukietem: każdy w nim kwiat jest tak ładny, że trudno osądzić, który najładniejszy. — Prus może służyć za wzór tym powieściopisarzom, którzy za najsilniejszą przynętę dla czytelnika uważają sensacyę, t. j. podniecenie umysłów i wyobraźni.

Stosunki miłosne traktuje Prus z lekka i epizodycznie, nie wysuwa ich nigdy na główny plan, ani nie kładzie w nie punktu ciężkości opowiadania. Bohaterowie Prusa nie żyją, nie cierpią, ani umierają dla miłości i przez miłość, ale spotkawszy kwiat miłości na drodze życia, zrywają go jeżeli można i dalej dążą ku wytkniętym celom, lub też ulegają w walce z losem. Nie jest Prus nigdy tkliwym trubadurem, nie stawia kobiety na piedestale uwielbienia i miłosnych zachwytów, ale trzeźwo traktuje ją jako towarzyszkę i współpracowniczkę mężczyzny. Ten brak romansu sprawia, że niejedna egzaltowana panienka powie, że Prus jest „nudny“.

Za to człowiek myślący rozkoszuje się czystą, a nawskroś swojską atmosferą powieści Prusa, z których tak szczera bije prawda życia, tak gorące ukochanie rzeczy ojczystych. Pragnąć należy, aby „te księgi zbłądziły pod strzechy“ mniej zamożnych i mniej wykształconych. Prus bowiem, to wielki artysta w malowaniu cierpień i radości maluczkich tego świata, ludzi biednych i prostych, dzieci i zwierząt.

Zwierzętom poświęca nawet często piękne i natchnione karty swych powieści. Maluje nam smutek krowy, karmicielki biednego wieśniaka w „Placówce“, gdy sprzedana żydowi, żałosnym rykiem żegna swego pana. Czytelnik sam nie wie, z kim więcej współczuje, czy z biednym człowiekiem, czy ze smutnem, pokrzywdzonem zwierzęciem.

To znów w „Anielce“ długo się rozwodzi nad bezgranicznem przywiązaniem i wiernością pieska Karusia, który pozostawiony na wsi sprzedanej a opuszczonej przez dziedzica, kona z rozpaczy i głodu.

Takie powieści stanowczo więcej zawierają pierwiastków uszlachetniających, niż sensacyjne romanse, obracające się w dusznej atmosferze niskich instynktów zwierzęcia — człowieka.

M. G.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Z kraju wolności.

W dniach smutku i żałoby, nie wiem czy słusznie tak nazwać czas, w którym los powołał nas do szczytnego złożenia świadectwa za Wiarę i Ojczyznę — w tych dniach często myśli moje zwracają się ku ziemi, na której Polakom wolno pielęgnować i rozwijać swe odrębne narodowe cechy.

Tą ziemią jest Ameryka. „Praca“ już kilkakrotnie zwracała uwagę na tężynę braci naszych za morzem, na ich obywatelskie przymioty i cnoty, i na uznanie, jakiem darzą ich Amerykanie.

Dziś chcę zwrócić uwagę na okoliczność drobną może, a jednak bądź co bądź bardzo sympatyczną. Oto w niedzielę dnia 2 września b. r. odbywało się w mieście *Buffalo* poświęcenie szkoły polskiej.

Naturalnie, że Polacy okazyę tę obchodzili uroczyście, szczególnie gdy szkoła ta połączona jest z Kościołem, a nawet z klasztorem.

Najbardziej atoli podpadło mi, że w uroczystości tej od początku do końca brał udział biskup miejscowy, ks. Colton, słuchał n. p. kazania polskiego, i nie zdaje się, by dźwięki języka polskiego go raziły.

Ale nie dość tego. Oprócz ks. biskupa Coltona w poświęceniu szkoły brał udział ks. W. F. Likly rektor *uniwersytetu* i 13 innych księży Amerykanów — oczywiście także wielu Polaków.

Gdy szczegóły te czytałem, wprost zdawało mi się to wszystko rzeczą prawie nie do uwierzenia.

Czemu? — Wśród rodaków naszych na obczyźnie (w Berlinie, Westfalii i Nadrenii) wręcz nieznaną jest rzeczą, ażeby po za ks. proboszczem lub kapelanem ktoś tak przyjaźnie z nimi przebywał, by chętnie i tak cierpliwie słuchał ich mowy polskiej jak ów *biskup* amerykański, albo rektor uniwersytetu.

Nie — księża niemieccy, przychodząc na zebrania polskie, jeżeli nie roszczą sobie prawa do przewodnictwa — przynajmniej narzucają Polakom swój niemiecki język. Jakaż to różnica pomiędzy księżmi w Ameryce — i tu w Niemczech?! *Wasz S.*

Zebrania i wiece.

Walne zebranie wyborcze odbędzie się w Pleszewie, dnia 14 października o godz. 5-tej po poł. na sali hotelu Wiktorya, na którem zda sprawozdanie poselskie poseł *ks. dr. Jażdżewski* ze Środy. O jaknajliczniejszy udział wyborców uprasza.

Komitet wyborczy na powiat pleszewski.

* * *

W Giertrzwałdzie na Warmii odbędzie się dnia 30 września wiec celem wniesienia

protestu przeciwko przygotowywaniu i przyjmowaniu dzieci polskich do pierwszej komunii św. w języku niemieckim.

Sprawa to arcyważna, dla tego też rodacy licznie na ten wiec stawić się powinni. Na wiecu przemawiać będzie poseł Kulerski z Grudziądza.

Komitet.

Wiadomości.

* **Obywatelom miasta Poznania** donosimy, iż od wczoraj wyłożone są na I-em piętrze starego ratusza listy wyborcze, które jedynie są miarodajne przy głosowaniu na radnych; wybory radnych odbędą się w końcu listopada. Dawniej listy te były wykładane w lipcu, później w sierpniu, lecz tego roku opóźniła się biurokracya poznańska z listami bo magistrat nasz nosił się z myślą pozmieniania okręgów. Na razie zostało przy starem: Jeżyce, Łazarz i Wilda zachowały swe samodzielne dawne okręgi, tak samo stare miasto głosować będzie w czterech tradycyjnych okręgach: Rynek, Chwaliszewo, Rycerska i Naumanna. *Obowiązkiem* każdego dzielnego obywatela *jest zajrzeć czemprędzej do listy* i przekonać się czy jest zapisanym. Szczególnie obywatele z okolic Rynku, Chwaliszewa, Rycerskiej i z Jeżyc powinni tłumnie spieszyć do listy, albowiem okręgi te obecnie poważnie są zagrożone. Każdy prawdziwy patryota-chlebodawca powinien przekonać się czy ludzie u niego pracujący są zapisani w liście. Powinien każdy obywatel być zapisany, który płaci od roku *najmniej Mrk. 6.80* podatku rocznie czyli M. 1,70 kwartalnie. Listy są wyłożone od godz. 8-mej do 1-szej przed i od 3-ciej do 6-tej po południu; wejście z

galeryi ratuszowej do starej sali radnych, na której odrzwiach widnieją herby Polski i Litwy i napis rok 1508.

W końcu wzywamy właścicieli warsztatów i zakładów przemysłowych, aby sporządzili spis ludzi pracujących u nich i posłali kogoś zaufanego do zrobienia kontroli, tak jak to czynią urzędy pruskie dla swych podwładnych urzędników. Kto nie jest w liście zapisanym niechaj się uda do siedzącego po lewej stronie przy stole urzędnika i tam się poda do protokółu. Należy dla przezorności zabrać karty podatkowe z przeszłego i bieżącego roku. *Spieszmy zatem na Ratusz,* bo od liczby zapisanych wyborców zależy klęska lub zwycięztwo. Przy kontroli należy podać ulicę, na której się mieszkało w październiku zeszłego roku.

* **W Poznaniu** zaczął się w kilku szkołach — opór przeciwko niemieckiej nauce religii. Władze szkolne starają się wszelkiemi siłami zapobiedz rozszerzaniu się tego oporu. Pomaga im w tem skrzętnie „Posener Tagebl.“ pisząc, że opór ten stawiło w pojedyńczych klasach tylko kilkoro dzieci, i że dzieci te na przedstawienia nauczycieli oporu swego zaniechały. Tak atoli nie jest. Władze tutejsze szkolne widocznie obawiają się tego ruchu przeciwko niemieckiej nauce religii.

* **Szanujmy język ojczysty.** Z miasta odbieramy następującą wiadomość: Czekałam na lekarstwo w pewnej aptece w górnej części miasta, wtem wchodzi robotnik i mówi po niemiecku: guten Tag, bitte für Kr... (firma polska). Pomocnik aptekarski, widocznie nie-Polak, bo niedostatecznie władał językiem polskim, ale przecież bardzo uprzejmy i grzeczny, odpowiada *po polsku,* podaje mu lekarstwo i mówi: proszę, toby było wszystko. Nie-Polak po prostu zawstydził — robotnika polskiego.

Szkoda, że łaskawa informatorka nie podaje nam, czy się to w polskiej działo aptece czy niemieckiej. Jeżeli — jak przypuszczamy — w polskiej, wypadek ten zasługuje nie tylko na naganę — ale i na uwagę. Dowodzi on bowiem zupełnej nieświadomości narodowego robotnika. Czyżby owa *polska* firma nie miała obowiązku trochę narodowego światła nasączyć do ciemnej mózgownicy owego robotnika?

* **Na niemieckim chlebie!** Z pod Pleszewa donoszą, że p. von Jouanne z Malinia wszystkim swoim urzędnikom Polakom w swych majątkach wypowiedział miejsce. Urzędnicy ci już z dniem 1 października pozbawieni zostaną — niemieckiego chleba. Czy polscy pracodawcy znajdą odwagę w sobie, by na taki bojkot — taką samą dać odpowiedź?

* **Ukarany notaryusz Polak.** Donoszą „Lechowi,“ że adwokatowi p. Wyczyńskiemu w Brodnicy władza odebrała notaryat, ponieważ spisał kontrakt, dotyczący sprzedaży majątku niemieckiego, który nabył podstawiony z polskiej strony Niemiec. Władza posądza p. mec. Wyczyńskiego, że o tem wiedział i świadomie działał na szkodę niemczyzny. Coby władza powiedziała, gdyby było odwrotnie?

* **Zakazane wiece!** W „Dzienniku Kujawskim“ czytamy, że wiec w *Gorzeniu* w parafii ślesińskiej, który miał się odbyć w niedzielę 23-go b. m. w sprawie nauki religii, został, choć zrazu udzielono pozwolenia, ze względu na zdrowie (!) mających w nim uczestniczyć, *policyjnie zakazany.* W przyszłą niedzielę odbędzie się w tej samej sprawie wiec w *Teresinie.*

* **Wieczorki germanizatorskie** t. zw. „Elternabendy“ na G. Śląsku, a „Unterhaltungsabendy“ w W. Ks. Poznańskim były przedmiotem sądowych rozpraw przed izbą karną w Bytomiu. Swego czasu zwracał p. *Wolski* w „Górnoślązaku“ rodzicom uwagę na niebezpieczeństwo germanizacyi przez owe wieczorki i nawoływał do uczenia dzieci języka, czytania, pisania polskiego, dziejów polskich. Prokuratorya wysnuła ztąd wniosek, że „Górnoślązak“ nawoływał w tym artykule do *oporu przeciwko rozporządzeniom władzy.* W obronie oskarżonego wywodził p. mec. Wnukowski, że rozporządzenie to dotyczy tylko urządzania owych wieczorków. Szkoły mają rozkaz wieczorki te urządzać — ale co do rodziców, to uczęszczanie na te wieczorki zależy od ich *dobrej woli.* Zatem i artykuł nie zawiera przewinienia w myśl prokuratoryi. Prokurator wniósł o 6 miesięcy więzienia, sąd oskarżonego *uwolnił,* orzekając równocześnie, że *nikt nie ma obowiązku* uczęszczania na te wieczorki.

* **Frymarka ziemią:** Majątek Nowydwór pod Koronowem, 110 mórg, który p. Władysław Benke sprzedał przed kilku miesiącami p. Burzyńskiemu z Gniezna, przeszedł dnia 19-go b. m. na własność *kolonizacyi.* Pan Benke znajdzie stosowną nagrodę — w „Czarnej księdze“

* **Z raju kolonistów.** W Nowym Sędzinie zabił się kolonista Sommerfeld, który dopiero przed 4 tygodniami się był sprowadził w nasze strony. — Osierocił żonę i 5 dzieci. Znalazł istotnie raj — ale nie na ziemi.

* **Nowa zbrodnia żołnierzy:** Głowy Gepperta i Rosińskiego niedawno potoczyły się po piasku za to, że zabili gospodarza polskiego w celu rabunku. Byli to najzwyklejsi zbrodniarze, rzezimieszki. Obecnie nadeszła do „Dziennika Poznańskiego“ wiadomość o innej zbrodni, o zbrodni popełnionej przez żołnierzy niemieckich nie ze zbrodniczych — ale z politycznych pobudek. Korespondent z *Mieszkowa* opisuje wypadek ten pod datą 23-go b. m. tak:

Dziś w nocy zamordowali ułani, wracający z manewrów a rozkwaterowani w Radlinie pod Mieszkowem robotnika Izydorczyka ze Stęgoszy, który wracał od pracy z kolei. W pobliżu kościoła w Radlinie przy figurze św. Jana, wydarli mu łopatę i roztrzaskali mu głowę. Dwóch natychmiast aresztowano. Izydorczyk był człowiekiem spokojnym. — Powodem do zaczepki według dalszych doniesień miała być rozmowa przechodzących w pobliżu ułanów robotników w języku polskim. Ułani zakazali im po polsku mówić, nazwali ich „świniami polskimi“, a następnie tak okropnie pobili, że I. umarł na miejscu. Pisma hakatystyczne o zbrodni tej milczą, snać wstydzą się *takich* owoców swej nagonki na Polaków!

* **„Gazeta Toruńska“** przysłała nam w sprawie wystosowanego pod adresem p. Jana Brejskiego pytania, co uczynił, ażeby brata swego *Józefa* odwieść od sprzedawczykostwa — kilka numerów, w których zaczepiony wydawca „Gaz. Tor.“ broni się przeciwko robionym zarzutom. Z tych oświadczeń publicznych p. Jana Brejskiego wynika, że starał się istotnie na brata swego wpłynąć, ażeby ziemi swej obcym nie sprzedawał. Brat ten jednakże go nie usłuchał. Na usprawiedliwienie brata swego podaje pan Jan Brejski, że gospodarstwa w Krystkowie były narażone na zalewy Wisły tak, że przy najlepszej gospodarce groziło właścicielowi niebezpieczeństwo utraty majątku. Pan Józef Brejski w miejsce 300 sprzedanych mórg kolonizacyi kupił 500 mórg od Niemca. Podajemy wiadomości te na odpowiedzialność p. Jana Brejskiego. Społeczeństwo nasze dobrze wie, co o podobnych ludziach, jak p. Józef Brejski, sądzić ma, a chociaż p. Jan Brejski w sprawie tej bezpośrednio zdaje się żadnej winy nie ponosi, to jednak dziwić się nie może, że zbolałe tylu stratami społeczeństwo żal czuje nie tylko do sprzedawczyków, ale i do ich krewnych, skoro sądzi, że mogliby się byli energiczniej zabrać do ochrony czci rodziny swojej.

* **Teatr polski w Poznaniu.** W *sobotę:* „Zazdrośnica“, wesoła, pełna ruchu, życia i dowcipu komedya z francuskiego, zlokalizowana przez S. R. Komedya ta obiegła z niezwykłem powodzeniem wszystkie sceny.

W niedzielę po południu o 3-ciej „Zaczarowane koło“. (Ceny do połowy zniżone. Wieczorem: „Karykatury“ J. A. Kisielewskiego.

Poniedziałek: „Rosmersholm“, dramat w 4 aktach H. Ibsena.

Wtorek: „Karykatury“, studyum sceniczne w 4 aktach (pół ceny).

Środa: „Zazdrośnica“, komedya w 3 aktach z francuskiego.

Czwartek: „Consilium facultatis“, komedya w 1 akcie J. Aleks. Fredry, „Prawo mimicry“ w 1 akcie A. Nowaczyńskiego i „Wyrozumiały komisarz“, komedya w 1 akcie z francuskiego T. Courtelin'a.

* **Na cześć** *Elizy Orzeszkowej:* Towarzystwo kobiet *„Promień“ w Poznaniu* donosi, że w niedzielę, dnia 30 września r. b. o godzinie 8-mej wieczorem odbędzie się na ogrodowej sali Lamberta *na cześć Elizy Orzeszkowej wielki obchód* z łaskawym współudziałem pierwszorzędnych sił artystycznych Księstwa, oraz chóru męskiego Towarzystwa śpiewu *„Harmonia“* pod batutą znanego i cenionego artysty kompozytora p. dyr. Bol. *Marcinkowskiego.*

Ceny miejsc: Loże po 2 mk., krzesła pierwszorzędne po 1 marce, krzesła drugorzędne 50 fen. i miejsce do stania 30 fen.

* **Bank Parcelacyjny** w Poznaniu przy ulicy Wiktoryi otrzyma na 1-go października większą seryę hypotek na mniejsze i większe sumy. Bliższe szczegóły podane są w ogłoszeniu.

* **Chleb dla swoich.** (Ogłoszenie X z dnia 22-go września 1906). Następujący rodacy dzielni w swym zawodzie, znajdą chleb pomiędzy swoimi: 1) Adwokat, 2) zegarmistrz, 3) le-

karz, 4) stelmach, 5) akuszarka, 6) golarz, 7) kołodziej, 8) blachnierz, 9) kupiec towarów krótkich, 10) kupiec bławatnik, 11) kupiec (Dom towarowy).

Bliższych informacyi — najchętniej ustnie — udzieli Biuro „Straży" Piekary 13 II.

Adres: Dr. Tadeusz Jaworski — Poznań — Posen. — Uprasza się dołączyć znaczek na odpowiedź.

* **Kościan:** „Gazeta Polska" donosi, że któregoś dnia, gdy nauczyciele za nieodpowiadanie w języku niemieckim z religii zatrzymali dzieci w areszcie, matki urządziły istną wędrówkę z obiadami do szkoły. Wobec tego nauczyciele dzieci rozpuścili. Kościańskie matki postąpiły sobie bardzo roztropnie.

W niedzielę ubiegłą Towarzystwo Pań Miłosierdzia urządziło na rzecz ubogich miasta przedstawienie amatorskie ze śpiewami i deklamacyami. Przedstawienie udało się ku ogólnemu zadowoleniu.

* **W Szubinie** nie odbył się wiec „Straży," zapowiedziany na niedzielę 23-go b. m., ponieważ pani Neumann, właścicielka sali, w ostatniej chwili zastraszona przez wpływowe osobistości niemieckie, odmówiła lokalu.

* **Gniezno.** „Lech" donosi, że lista wyborcza gnieźnieńska wykazuje liczbę obywateli uprawnionych do głosowania do rady miejskiej 1485 ! — w liście tej natomiast brak 2700 obywateli, którym z powodu niedostatecznego podatku albo z innych względów prawo wyboru nie przysługuje. I to są „postępowe" Prusy!?...

* **W Strzałkowie** odbył się w niedzielę 23-go b. m. na sali p. Maciejewskiego wiec „Straży". Wiec zagaił starosta p. Matuszewski z Miłosławia, a przewodniczył p. Urbański z Strzałkowa. O celach „Straży" mówił p. St. Chociszewski z Poznania, a o obowiązkach narodowych i o sprzedawczykostwie rozwodził się p. Chojnacki ze Strzałkowa. Gospodarz p. Ziółkowski z Babina przedstawił nasz ucisk w walce z hakatyzmem, a obywatel miejscowy p. Bresiński dziejowe zapasy Polski z niemczyzną. Wszystkie przemówienia gorąco oklaskiwano.

Gdy miał zabrać głos redaktor „Lecha" p. Teska, komisarz policyjny Guenther z Poznania oświadczył, że na to pozwolić nie może, ponieważ lampy na sali za nisko wiszą. Musiano więc wiec przerwać. Zgromadzeni, jakkolwiek bardzo oburzeni, rozeszli się spokojnie i żandarmi, których było aż sześciu, nie mieli powodu do wkroczenia.

W niedalekim czasie odbędzie się w Strzałkowie wiec parafialny w sprawie nauki religii w szkole.

* **Strzałkowo.** Tutejsze polskie Koło śpiewackie urządza w niedzielę, dnia 7-go października na nowej wielkiej sali p. T. Maciejewskiego koncert połączony ze śpiewami męzkimi, oraz mięszanemi, z łaskawym współudziałem skrzypka artysty p. Pawlaka, oraz pianisty p. Jagsehn. Mamy nadzieję, iż Szan. Publiczność w dowód uznania pracy i starania Koła naszego, oraz młodego artysty, jak najliczniej przybędzie, i tem samem otuchy nam i jemu do dalszej pracy i kształcenia się doda.

Zarząd.

* **Śmigiel.** Uczeń krawiecki Maksymilian Łubiewski stawał przed tutejszym sądem ławniczym oskarżony o grubą swawolę. Przy spisie statystycznym pytał nauczyciel Sell w szkole uzupełniającej każdego z uczni, jakim językiem mówi w domu. Sell, syn nauczyciela z okolicy Kępna, odpowiedział, że tak w domu jako i u swego majstra po polsku rozmawia. Gdy uczeń Rutkiewicz na takie same pytanie odpowiedział, że ze swymi rodzicami jako i w domu majstra swego rozmawia po niemiecku, miał się Łubiewski mocno rozgniewać i zakląć „psia krew." Nauczyciel S. zadenuncyował go i Ł. otrzymał z policyi mandat karny w wysokości 15 mrk., przeciw któremu wniósł o rozstrzygnięcie sądowe. Sąd karę tę potwierdził i skarał go oprócz tego na poniesienie stąd wynikłych kosztów.

* **W Wilhelmsburgu** (pod Hamburgiem) odbył się pierwszy wiec „Straży". Wiec ten pomimo ogromnej ulewy był dość liczny — liczył przeszło 300 uczestników. „Dziennik Berliński" donosi, że usiłował zaburzyć wiec p. J. Buliński, który domagał się koniecznie osobnego wyboru przewodniczącego wieca, gdy przewodnictwo wieca po zagajeniu p. Gicz oddał p. Fr. Krysiakowi, staroście „Straży" na Berlin, Hamburg itd. Zebrani na to wystąpienie p. Bulińskiego byli oburzeni. Wiec jednakże odbył się w zupełnym spokoju i porządku. Oprócz wspomnianego już p. Gicza przemawiali także pp. Józef Pawelek i Jan Drążkowski z Hamburga — oraz pp. Krysiak i Grzelachowski z Berlina. — Do „Straży" zapisało się 70 wiecowników. Gdy pod koniec p. Buliński znowu usiłował agitować przeciwko „Straży", zebrani zmusili przewodniczącego do odebrania mu głosu. Ten sam los spotkał socyalistę p. Kaz. Suszyńskiego. Przykry to nader objaw, że wśród rodaków na obczyźnie znajdują się jednostki, które dla prywaty starają się przeszkadzać narodowej organizacyi. Mamy jednakże nadzieję, że i ci rodacy przejrzą jeszcze i starać się będą w przyszłości błędy swe naprawić.

* **Sprawozdanie** *szkoły handlowej p. F. Mellina w Poznaniu, ul. Wrocławska 20.* W czasie od 1-go lipca 1905 do 1-go września r. b. odwiedzało powyżej wspomnianą szkołę 90 panien i 50 panów. z tych uczyło się: książkowości bankowej 3 akademików, książkowości gospodarczej 7 synów większych posiedzicieli, książkowości kupieckiej 130 z wiadomościami gimnazyalnemi, wyższych szkół szkół żeńskich, szkół średnich i elementarnych. Samouczka stenografii polskiej sprzedano 815 egzemplarzy. Rewizyi ksiąg dokonano ogółem 5. Nauka odbywa się nadal pod osobistem kierownictwem p. Melina praktycznie i najdokładniej.

Nowe kursa rozpoczynają się *3-go października r. b.*

* **Kurs stenografii polskiej** rozpoczyna się w szkole handlowej p. Teofila Preissa przy ul. Św. Marcina 64, dnia 3-go października. Nauka odbywa się gruntownie aż do perfekcyi w pisaniu 100 głosek w minucie. Szybkość taka wystarczy, ażeby podołać każdemu wymaganiu czy to w kantorze kupieckim, kancelaryi adwokackiej, biurze redaktorskim lub też w każdym innym zawodzie. Zachęcamy przeto do licznego udziału.

Nekrologia.

† Ś. p. *Katarzyna z Pniewskich Dużyńska*, matka ks. Czesława Dużyńskiego, dnia 20-go b. m. w Murzynowie kościelnem. R. i. p.

† Ś. p. *Prakseda z Bryckczyńskich Śmiśniewiczowa*, dnia 23-go z. m. w Wągrówcu, przeżywszy lat 78. R. i. p.

Nasza ofiarność.

Na polskie elementarze dla biednych dzieci: złożył p. N. N. z Poznania 6 mrk.

O dalsze, choćby najdrobniejsze datki na cel ten tak szlachetny, prosimy bardzo.

* * *

Na weterana z roku 1863-go, schorzałego i biednego, zagrożonego wydaleniem z mieszkania złożyli pp: S. S. z Opola 3 mrk; A. S. z Gdańska 5 mrk; E. Neyman ze Śremu 3 mrk; zebrano na posiedzeniu Towarzystwa „Jedność" w Hamburgu za pośrednictwem p. Ludwika Jankowskiego 10 mrk. 00 fen.

O dalsze ofiary bardzo prosimy, gdyż na zimę nadchodzącą zostanie biedny weteran bez dachu nad głową.

* * *

Na głodnych Rodaków w Królestwie: od kilku Polek z Gdańska 13 mrk; pani A. S. z Gdańska 10 mrk.

*

Na Macierz szkolną w Królestwie: pani A. S. z Gdańska 10 mrk.

*

Na Zakład dla biednych dzieci na Zwierzyńcu pod Krakowem: pani Antonina Łucka ze Stanisławowa w Galicyi 2 mrk. włącznie na obraz Matkiej Boskiej

Od Redakcyi.

— *Panu J. W... w Ostrzeszowie* prosimy o łaskawe uwiadomienie, jaki był koniec owego rozporządzenia p. Luksa — czy zostało cofnięte? Inaczej wiadomość ta nie ma żadnego znaczenia.

— *Pani Walentynie M. w Herne.* — „Bluszcz" w Warszawie, „Dobra gospodyni" w Warszawie i t. d. Może Szan. Pani zapisać za pośrednictwem księgarń poznańskich, które Szan. Pani w tej sprawie udzielą porady. Oto adresy księgarń poznańskich: A. Cybulski, św. Marcin, B. Chrzanowski, św. Marcin, J. Leitgeber, ulica Wilhelmowska i W. Tempłowicz, ulica Wilhelmowska.

— *Teofilowi w Pile.* — Prawa magdeburskie miały dawniej w Polsce znaczenie praw krajowych, do których poddani zastosowywać się musieli. Miasta na prawie magdeburskiem miały odrębne sądownictwo.

Rozmaitości.

Mowa zabójczyni Mina. Przed sądem wojennym, który sądził zabójczynię gen. Mina Zineiedę Konopliannikową, wygłosiła ta ostatnia, jako oskarżona, następującą mowę na swoją obronę: „W czasie śledztwa pytano mnie, kto mi dał prawo zabijania. Jako członek partji socjalno-rewolucyjnej odpowiedziałam to samo, co mówią zawsze moi towarzysze: Partja postanowiła na biały, czyli raczej krwawy terror rządu, odpowiedzieć terrorem czerwonym. Terror partyi wymierzonym został przez rząd. Jako dziecko ludu — mój ojciec był żołnierzem, matka włościanką — zapytam was w mowie prostego ludu: Kto wam dał prawo trzymać nas przez całe wieki w ciemnocie i ubóstwie, kto wam dał prawo siać nas do więzienia, na wygnanie, do robót przymusowych, kto wam dał prawo strzelać nas dziesiątkami, wieszać, całymi setkami mordować?

Przywłaszczyliście sobie to prawo sami, jako silniejsi, sankcjonowaliście je własnymi ustawami, a popi dali wam swoje błogosławieństwo. Teraz jednak przychodzi czas na nowe prawo, na prawo ludu, które sprawiedliwsze jest od waszego nieludzkiego prawa. I temu prawu wyście wydali walkę na śmierć i życie. Wiecie dobrze,, że z upadkiem waszego prawa i wy także zginiecie, wy coście się tem prawem żywili jak szakale ścierwem. A my, dzieci ludu, bojownicy wolności czujemy siłę i prawo wystąpić do walki z wami, przedstawicielami autokratycznej i biurokratycznej samowoli.

Obronę swoją zakończyła Konopliannikowa następującymi słowy: „Zasądzicie mnie na śmierć. Gdziekolwiek jednak umrę, na stryczku, czy w kopalniach, czy w więzieniu, umrę z jedną tylko myślą: Niech mi lud mój wybaczy, że tak mało mogłam mu dać — tylko moje życie. Umrę z pełnem zaufaniem, że przyjdzie dzień, w którym runie tron chwiejny, a ponad szeroki, rosyjski kraj wejdzie słońce wolności“.

O wykonaniu wyroku śmierci na osobie Konoplannikowej opowiadają naoczni świadkowie tego aktu jeszcze następujące szczegóły:

Skazana szła pod szubienicę wolno, z podniesionem czołem; z popem wcale rozmawiać nie chciała, a gdy ją w pewnem stojąc oddaleniu, żegnał, skłoniła tylko głowę. Jedyne i ostatnie słowa jej były zwrócone do prokuratora: „polecam panu pozdrowić odemnie moich towarzyszów“. Gdy założyli jej na szyję stryczek, okazało się, że węzeł jest pod szyją, na co zwrócił uwagę żandarm, krzycząc do kata: „Ej ty, mierzawiec, i wieszać nie umiesz,“ wtedy skazana, mówiąc: „ja sama,“ schwyciła za sznur, przekręciła go i sama się nim udusiła, przedtem niż zdążyli ją powiesić.

Do asystowania przy wykonaniu wyroku nad Konoplannikową był naznaczony jeden z młodych prokuratorów, który niedawno przeszedł z adwokatury do prokuratoryi. W ten sposób chciano doświadczyć jego wierności i prawomyślności. Prokurator od doznanego wrażenia dostał wstrząśnienia nerwowego, ale od spełnienia „obowiazku“ nie cofnął się. Dzisiaj podobno jeszcze leży chory i boleje... nad słabością organizmu ludzkiego.

* * *

Legenda o Trepowie. „Biuro Prasy“ powtarza legendę, jaka wyrosła wskutek nieoczekiwanej śmierci gen. Trepowa i która w kilka godzin rozszerzyła się między publicznością petersburską.

Legenda ta utrzymuje, że Trepow nie umarł, lecz wprost dokuczyły mu prześladowania rewolucyonistów, przeto wymyślił prosty sposób wybawienia się od tych prześladowań. W tym celu puścił on pogłoskę o swej śmierci, a w samej rzeczy zgolił wąsy i brodę i wyjechał zagranicę pod zmyślonem nazwiskiem. Pochowano zaś zamiast Trepowa figurę woskową.

* * *

Statystyka zamachów. W ciągu 3 miesięcy ubiegłych, w czerwcu, lipcu i sierpniu, na ulicach Warszawy dokonano ogółem 100 zamachów na policyantów i żołnierzy, a w tej liczbie zabito 45 ludzi, raniono 55. Ogólnie biorąc, zabito i raniono w przeciągu trzech miesięcy: wojskowych 39, żandarmów 11, policyantów 50. Wypadków wybuchu bomb było: w czerwcu 1, w sierpniu 5. W czerwcu w czasie wybuchu był jeden zabity i dwóch ranionych, w sierpniu 15 ranionych. Ze statystyki rabunku sklepów monopolowych okazuje się iż w czerwcu ograbiono w Warszawie 12 sklepów, w lipcu 86, w sierpniu ani jednego.

* * *

Sokół na... dachu! W Piotrkowie w Królestwie Polskiem tuż przy linii kolejowej, naprzeciw stacyi towarowej, posiada dom pan Sokół, właściciel cegielni i fabryki dachówek, który dla zareklamowania swej firmy na dachu wspomnianego powyżej domu, krytego jego własną dachówką, umieścił napis: „Sokół“ z tejże dachówki, w innym kolorze wyrobionej. Gdy do Piotrkowa nadeszła wiadomość z Warszawy o zawieszeniu przez rząd czynności Towarzystwa „Sokół,“ do pana Sokoła przybyła policya i zażądała usunięcia napisu z dachu. Pan S. napróżno tłómaczył policyantom, że ten Sokół z dachu to tylko szyld dla reklamy, strażnicy nie dali się przekonać, weszli na dach i pierwsze dwie litery nazwiska zamazali wapnem.

DZIAŁ ILLUSTROWANY.



Dawna kaplica zamkowa, obecnie kościół parafialny wraz z ogrodem proboszczowskim w Korcu.

Książęta Koreccy
i zamek ich w Korcu.

U nas z każdym rokiem zmniejszają się historyczne pamiątki, świadki świetnej przeszłości naszej. Jedne zamki z wygaśnięciem rodów znakomitych zamieniły się w zwaliska, inne — pożary w części zniszczyły, ruiny zaś ręka macosza rządcy do zagłady przyprowadziła. Zapewne, sami właściciele nigdyby się nie odważyli do szczętu zniszczyć tego, nad czem ich przodkowie przez długie lata pracowali, ale niestety, oni powierzają swoje skarby, ruiny zamków, ludziom, którzy mało znają wartość zabytków i mało je cenią. I tak naprzykład, znałem pana rządcę w Kongresówce, który bardzo się ucieszył, gdy się dowiedział, iż żydzi za cegłę zamku dają pięć tysięcy rubli. „Proszę pana, za samą cegłę, aż... pięć tysięcy mogę wziąć''...

Na Litwie pewien rządca żydom na piece i „kamieniczki'' z największą przyjemnością rozbierał części niby niepotrzebne ruin zamkowych. Czy tacy i inni podobni panowie będą się starali, ażeby żadna cegiełka ruin nie przepadła! Gdzież tam! Byleby były pieniądze — i basta!

Na Wołyniu do lepiej utrzymanych ruin można zaliczyć zwaliska koreckiego zamku książąt Koreckich, dzięki starannej opiece obecnego rządcy. O tym to zamku i jego pierwszych właścicielach mam tu wspomnieć; ale nie myślę bynajmniej wdawać się w szczegóły, zostawiam to tym, którzy mogą lepiej odemnie odpowiedzieć zadaniu; ja zaś, mając w ręku kilka dokumentów, pragnę obznajomić czytelników z temi drogiemi pamiątkami.

Miasto Korec wraz z zamkiem koreckim sięga XIV wieku. Założycielem osady był syn Olgierda Wielkiego, kniazia Litewskiego, hospodara Rusi, kniazia na Witebsku i Krewie, Butaw-Konstanty - Borys - Dymitr, urodzony z Maryi Jaroslawówny, księżnej witebskiej.

Na chrzcie świętym, który był dopełniony według obrządku greckiego, odebrał imiona: Konstanty-Borys-Dymitr. — Po śmierci ojca otrzymawszy ziemię na Wołyniu, przy brzegach rzek Słuczy i Korczyka, udał się tam i w roku 1375 zakłada miasto i gródek. Od tej to daty zaczął się pisać gospodarem i kniaziem Koreckim na Korcu; wkrótce potem wzniósł zamek na miejscu tem, gdzie rzeka Kurczyk wpada do Słuczy.

Butaw Olgierdowicz najpierw się żeni z księżną Ulaną Daniłłowiczówną, z której ma syna Aleksandra (Aleksa) Dymitrowicza; następnie pomimo zakazu Kościoła ma za żonę blizką swą krewną, porwaną za jej zgodą, księżną Oksanę, córkę kniazia Oleka Włorymierzowica; z tego związku miał syna Borysa Dymitrowicza.

Rozgniewany Władysław Jagiełło na Butawa, odbiera Korec, Zasław i posiadłości w r. 1387, oddaje Fedorowi Daniłowiczowi, co w r. 1393 Jadwiga potwierdza. Ale Butaw siłą zbrojną i z pomocą ks. Witolda zawładnął swą ojcowizną. W roku zaś 1394 Butaw wraz ze swym mężnym synem Borysem pomagają ks. Witoldowi Kiejstutowiczowi w walce przeciwko „hanom'' tatarskim, Edygi i Timur Katłaku w bitwie na brzegach Wonskli, wojowniczy ojciec i mężny syn umierają chwalebną, godną bohaterów śmiercią. Po śmierci Butawa Olgierdowicza zostaje w roku 1400 kniazie Koreckim syn jego Aleksander (Aleksa) Dymitrowicz. Stryj zaś Jagiełło bardzo go kochał i szczególniejszą otaczał opieką. Daje mu 100 kóp groszy litewskich jako zapomogę na zbudowanie obronnego zamku w Korcu. Zamek (zamczysko) stanął za miastem nad urwiskiem na skale (na skalnoj Bałkie) nad Kurczykiem „o 6 honi'' od miasta „po prawu rucz szlachu do seła Kobylanki'' (Let. Wołyn. 1511 r. A. Merwi, str. 561). Nie dokończył jeszcze budowy zamku, gdyż w roku 1444 zmarł, zostawiając syna Bazyla Aleksandrowicza, urodzonego z kniaziówny Anny, córki kniazia Hryszki Wołowicza. Po śmierci ojca Bazyla Aleksandrowicza zostaje w roku 1446 utwierdzonym „hramotą'' W. X. L. Swidrygiełły Olgierdowicza, kniaziem Koreckim, Hajskim, Drohobuskim (Doroho-Bożaja). Będąc jeszcze młodzieńcem, uczestniczył w bitwie pod Warną, gdzie dosyć ciężko był ranionym. W roku zaś 1442 rozbił pod Korcem Watahę-Muchy.

Po odniesionem zwycięstwie powiększył, umocnił, obmurował zamek swój Korecki, a w Krasiłowie (Krasiłowka) zbudował drugi. Pod koniec życia swego udał się do Łucka i tam

umarł, zostawiając syna Iwana-Bohdana Bazylewicza i córkę Halszkę, urodzonych z ks. Maryny, córki kniazia na Pińsku (Arch. kor.); córka Halszka była wydaną za mąż za kniazia Dorohostajskiego.

Iwan-Bohdan Bazylewicz żonaty z córką ruskiego kniazia Gleba Lizinozylego, Lwa, Alesandra Bohdanowiczów, córkę Annę Bohdanowiczównę, która w roku 1496 wyszła za Michnę Zbraczewicza-Hulewicza.

Iwan Bohdanowicz, żonaty z Zofią Aleksandrówną Chodkiewiczówną, wdową po Stanisławie Kiczyolle w bitwie pod Wiedrożą dostał się do niewoli. Ale korzystając z ciemnej nocy i wierności kozaka uciekł. W r. 1512 z Lanckorońskim zbił Tatarów pod Wiszniowcem, a jako podarek przysłał bratu swemu Fedorowi 80 Tatarów wziętych w „plen;" w roku 1515 pod Orszą otrzymał trzy rany.



Wewnętrzny dziedziniec w Korcu z frontowemi murami od wschodu.

Król Zygmunt I listem własnoręcznym, pisanym w roku 1539, 7-go września, zaprasza go na wojnę (oryg. list. króla zabrany 1870 z Korca do arch. Brodzkiego).

Iwan Bohdanowicz umiera, zostawiając syna, gdyż żona jego Zofia, będąc brzemienną, przestraszyła się napadu Tatarów na Korzec, poroniła 8-me dziecię (syna). O tem swem wielkiem nieszczęściu Iwan Bohdanowicz pisze list do kn. Dorohostajskiego (Arch. hr. Broel-Platerów w Wiszniowcu).

Zostawił tylko córkę Annę, wydaną za Iwana Bazylego, kniaz. Massalskiego, który wziąwszy w posagu po żonie część ks. Koreckiego podpisywał się kn. Iwan-Michał Massalski Korecki.

Bazyl, Lew, Aleksander uczestniczyli z kn. Konstantym Ostrogskim w bitwie z Tatarami pod Sokalem w roku 1519, gdzie wszyscy trzej polegli śmiercią walecznych. (Bitwa pod Sok. J. Piasecki roku 1759). Umarli ci trzej kniaziowie koreccy bezpotomnie, zwłoki ich spoczywają w kijewskiej Ławrze ;ziemia ich zaś przeszła do brata Fedora. *X. I. L—a.*

(Dokończenie nastąpi)

wicza, był utwierdzony na księstwie Koreckiem „hramotą" króla polskiego i W. Ks. Lit. Aleksandra, daną 1495 roku 18-go lutego w Wilnie. Kniaz to był niepospolitej waleczności, uczestniczył w wyprawie na Wołoszę z J. Olbrachtem, gdzie się odznaczył roztropnością, a w Bukowińkim lesie uratował życie kn. Koziłowi i Czetwertyńskiemu. Ci, pragnąc swojemu dobrodziejowi czem się wywdzięczyć, złożyli mu podarki. Iwan-Bohdan Bazylewicz podarków nie przyjął, mówiąc : „Kniaź na Korcu może tylko daty, a nie braty". (List. Arch. Kor. Nr.164). Razem z Glińskim walczył pod Kleckiem w bitwie z Tatarami, gdzie bardzo się odznaczył ze swymi rycerzami.

Pod Korcem dwa razy zbił Tatarów i dwa czambuły wziął w „plen". Używał Tatarów do umocnienia zamku w Korcu i w „Krasnoj Łowce". Za gorliwą zaś pracę Tatarów i ich „czestnoje wedenie", wyznaczył im miejsce za Korcem o „20 honi na letni zachód sołncia" przy rzece Kurczyku i pozwolił stawiać szałasze „zemlanyje komory", tę osadę nazwał „Tatar-Obszczyna" dzisiejsza Tatarówka.

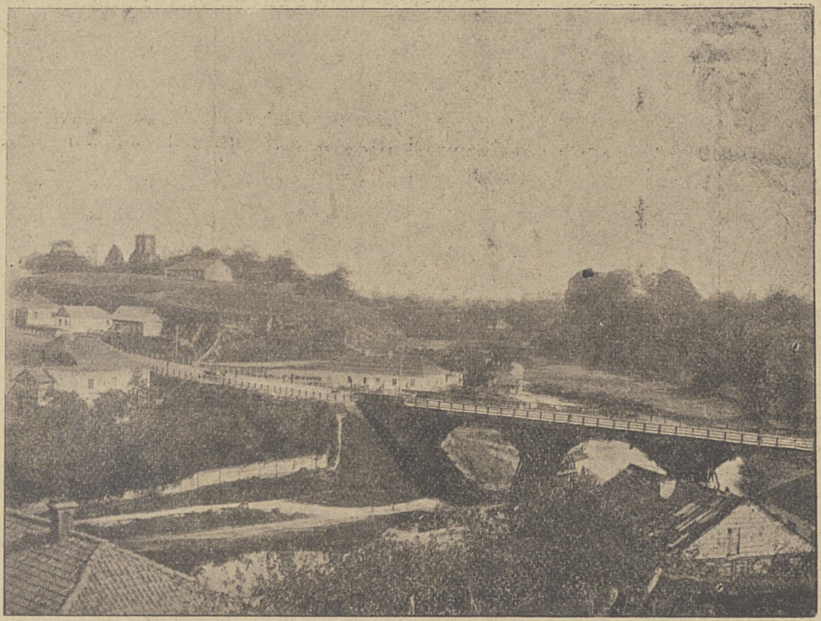
Król Aleksander oceniając jego zasługi dla kraju nadaje mu mandatem Dawidpol i Pohańszczyznę (Arch. Kor. fol. 115, 415, 693, 47).

Umarł on w Korcu i w zamku swym koreckim został pochowany, zostawując po sobie Iwana, Fedora, Ba-

Złoty wiek chłopa w Polsce.

(Dokończenie).

I tak co roku zmieniano pola, że co rok inne pole leżało ugorem. Wiedziano też już o znaczeniu nawozu — wywożono go na pola, by je użyznić. A



Góra zamkowa w Korcu od mostu nad Kurczykiem od strony północno-zachodniej.

tak każdy taki gospodarz mógł żyć [...]statnio, i dobrze się miewał. Miał [...] roli dwa lub trzy razy więcej, niż [...]pi polscy. Nie tylko zatem więc[...] mógł uprawić, ale i lepiej upraw[...] wskutek tego miał już nie dwa lu[...] razy, ale nieraz i pięć razy więce[...] nu, nić chłop polski. Dobrze

więc wiodło. Dla tej też ich zamożności zaczęto ich nazywać nie chłopami, ale kmieciami.

I dobrze im się wiodło, mimo że nie na swoim siedzieli gruncie. Bo i ci kmiecie osadzali się na gruntach cudzych, księcia, kościoła lub rycerzy, bo tylko do nich ziemia należała. Za to, ka korcy zboża, najczęściej owsa. Nadto obowiązani byli kmiecie uprawiać panu folwark, o ile był folwark. Ale jak mówiłem, nie wszędzie były folwarki, a jeśli były, to bardzo małe, tak że ta pańszczyzna wynosiła tylko 2 do 4 dni na cały rok z jednego łanu. Ponieważ zaś najpierw musieli ci kmie- sądzić, że to tylko ci obcy korzystali z takiego polepszenia doli. Od nich się zaczęło. Ale za ich przykładem poszli i polscy chłopi, i oni zaczęli się zmieniać w kmieci. Uczyć się trzeba zawsze, dowiedzieć tego, co dobre. Zrozumieli to i polscy chłopi. Zaczęli się uczyć od przybyszów. Nauczyli się od nich,



Resztki lata.

że dostawali ziemię na wieczystą dzierżawę, musieli ponosić pewne ciężary na rzecz pana. A że to byli ludzie wolni, więc się mogli z panem ułożyć. Nie sami się układali, ale jeden tylko, który już wpierw umowę zawierał, nim jeszcze przyszli ci nowi osadnicy. Ostrożni byli, najpierw się upewniali, co ich czeka, a nie szli na niepewne, jak nieraz się dziś dzieje przy wychodzeniu do Prus na roboty. Temu, kto się z panem wsi układał, pan wsi wystawiał przywilej na pergaminie, w którym dokładnie było opisane, co będą panu kmiecie dawali. Dopiero wtedy przychodzili kmiecie, a ten kto ich sprowadzał, został za te swoje trudy sołtysem, i to dziedzicznym. Z kmieci każdy płacił czynsz — rozmaicie wysoki w różnych stronach, zależnie od dobroci ziemi, i od tego, czy tej ziemi dość jeszcze było, czy już jej zaczynało brakować. Czynsz płacili w pieniądzach, raz na rok, na św. Marcina. Nadto dawali panu wsi na Wielkanoc zwykle 20 do 30 jaj, 2 kury, gdzie robiono sery, to 2 sery — a niekiedy jeszcze kilcie wykarczować las, więc na kilka lat nieraz na dłużej nawet dawano im „wolę,“ t. j. wolność od wszelkich ciężarów, aż las wytną i pobudują się.

To co dawali ci kmiecie panu, wynosiło więcej niż dawniej dawali chłopi, a zwłaszcza z tego pan był kontent, że dawali mu czynsz w pieniądzach. Ale kiedy dawniej chłop choć mniej dawał, bardzo to odczuwał, bo jemu samemu nie wiele zostawało, gdyż miał niewiele, to taki kmieć prawie nie czuł tego ciężaru, bo sam miał dość dla siebie i jeszcze mógł zaoszczędzić na czarną godzinę. A że był wolny, więc myślał i zapobiegał. Z sołtysem naradzała się wieś nad swojemi sprawami — sołtys ich sądził, a tylko ważniejsze sprawy sądził pan, który w tym celu zjeżdżał na takie wielkie sądy trzy razy na rok do wsi. Wtedy go też przyjmowali chłopi z sołtysem, dając mu dobry obiad, lub zamiast obiadu jakaś kwotę pieniędzy, którą dlatego „obiednem“ zwano.

Szczęśliwe więc to były czasy. A trwały lat trzysta prawie. Nie należy jaką wartość ma żelazna siekiera, o ile to lepiej uprawiać ziemię żelaznym pługiem. Zaczęli więc sami kupować siekiery i pługi. A że ziemi nie brakowało, więc pan i im także zaczął dawać więcej ziemi, i oni także karczowali lasy. Uprawiali też tę ziemię, dzieląc ją na wzór przybyszów na trzy pola. Zaczęli się też umawiać z panem, że mu będą także dawać czynsze, jak tamci, a pan się na to zgodził, bo na tem sam wychodził dobrze. I wkrótce w całej Polsce, jak długa i szeroka, wszędzie siedzą kmiecie, każdy ma cały łan, wszędzie widać trójpolówkę. Nie trzeba już było sprowadzać obcych, bo i swoi nauczyli się lepszej gospodarki. I dla chłopa polskiego więc był to wiek złoty.

Dopiero od XVI. wieku zaczęło się położenie kmieci pogarszać. Pan począł powiększać folwark, karczować pański las, osuszać bagna i moczary, a nieraz, jeśli chłop umarł bez dziedziców, to jego grunt do folwarku przyłączył. By zaś uprawiać folwark, zaczął nakładać większą pańszczyznę. A

...nczasem role kmiecie zaczęły coraz tyn... Rodzili się ludzie, przybywało malеć. ... więcej, a ziemi już nie było ich coraz ... m jej można było dać. wolnej, by n... szukali sobie chłopi Przez jakiś czas ... Jak dziś do Ameziemi na Wschodzie. ... Rusi Czerworyki, tak wówczas szli do ... wschodnianej (tak wówczas zwano ... Bo Galicyę), na Podole i nawet dale... tam jeszcze było dość pusto. Ale kiedy i tam przybyło ludzi, trzeba było zostać na miejscu, dzielić się gruntem. I zaczęły się dzielić łany na połówki, na ćwiartki, aż wreszcie powstawać zaczęły kilkomorgowe ...edwie gospodarstwa, coraz więcej przybywało chałupników i zagrodników, których dawniej prawie nie było. Mniej miał chłop, a pan więcej od niego wymagał. I przyszły jeszcze wojny i zarazy, upadał kraj cały. Rozpoczęła się smutna dola chłopa, którą naprawiło dopiero przynajmniej w części zniesienie pańszczyzny.

„Ojczyzna.“



O grób w Ojczyźnie naszej prosimy Cię, Panie!

O jedno tylko
proszę Cię, Boże,
O jedno tylko
błagam Was Nieba,
O jedno tylko
błagam w pokorze,
O jedno tylko:
By polska gleba
Kiedyś po znojach
i pracy plonie,
Gdy śmierć wyciągnie
chude ramiona,
W ostatniem tchnieniu,
gdy życie skona
I raz ostatni
gdy zadrga w łonie,
By polska gleba
i polskie błonie
Szczątki me skryły
w cichej mogile,
Gdziebym ja spoczął
w zadumie mile
I gdziebym czekał,
aż z łaski Boga
Wróci nam szczęście
i wolność droga!

O to Was proszę
I błagam szczerze,
W zamian — rozkosze
Niosę w ofierze;
Za rozkosz morze,
Za szczęścia chwile,
Chcę spocząć, Boże,
W polskiej mogile...

Ślązak.

Panna Bronisława,

podoficer w I pułku jazdy sandomierskiej 1831 roku.

Na cmentarzu Powązkowskim w Warszawie znaleźć można grobowiec w kształcie sarkofagu, z dziwnie brzmiącym napisem na wierzchniej płycie:

Śp. Barbara Bronisława
z Czarnowskich
I-mo voto Zakrzewska,
II-do voto Zbikowska,
b. podchorąży b. wojsk polskich,
ozdobiona krzyżem *virtuti militari*.
Zm. 1891 r.

Mogiła ta kryje w sobie zwłoki przeszło 80-letniej staruszki, która młodem dziewczęciem chwyciła za oręż w obronie ojczyzny i jako rzeczywisty żołnierz w szeregach polskich służyła. Nie było wolno pisać o niej za panowania cenzury, dopiero teraz, gdy się zmieniły stosunki, podał o niej w „Echu muzycznem i teatralnem“ wiadomość p. Michał Brensztein. Ponieważ pamięć bohaterki i z naszą dzielnicą jest cokolwiek związana, tem chętniej powtarzamy główne rysy z jego opowiadania.

Panna Czarnowska urodziła się w roku 1810 we wsi Strugach, powiecie błońskim, pod Warszawą. Ojciec pochodził z Ukrainy, matka z Łęczyckiego; dzierżawili oni niewielki folwarczek. Córce dali drugie imię, które się później głównem stać miało, Bronisławy, bo to była epoka wojen napoleońskich, oraz wielkich nadziei i wielkich poświęceń, podejmowanych dla ojczyzny i dla sławy. Więc przypominano sobie dawne śliczne polskie imiona chrzestne, w niesłusznej pogrzebane niepamięci. Wówczas pojawiali się różni Bronisławowie i różne Bronisławy, chociaż świątobliwa Norbertanka ze Zwierzyńca później dopiero przez Grzegorza XVI w poczet błogosławionych zapisana została. Jenerał Dąbrowski nazwał syna swego Bronisławem, a państwo Czarnowscy córkę Bronisławą. Imię wybrane dla dziecka miało być wróżbą jego przyszłej doli.

Wychowana pod okiem rodziców skromnie ale po chrześciańsku, wyniosła z domowego ogniska, z rodzinnej tradycyi, wielką miłość ojczyzny i gotowość do poświęcenia się dla niej.

Przybyła do Warszawy po raz pierwszy jako dwudziestoletnia panna, aby odwiedzić dom pp. Orłowskich, przyjaciół swoich rodziców, przy ulicy Twardej mieszkających. Los chciał, że przyjechała 28 listopada, a następnego dnia w nocy wybuchła rewolucya. Kompania wojska polskiego otoczyła dom Orłowskich, szukając pułkownika Zassa, naczelnika tajnej policyi, ale nie było go, bo pojechał z raportem do Belwederu. Zabrano tylko ważne papiery w jego mieszkaniu. Nazajutrz wysłał w. ks. Konstanty Zassa z obozu na zwiady do Warszawy. Poznał go tłum za Żelazną Bramą, zamordował, a zwłoki skrwawione nieszczęśliwego zaniesiono do mieszkania przy ulicy Twardej. Przerażona panna Czarnowska ujrzała po raz pierwszy krew ludzką...

Widok ten nie ostudził przecież entuzyazmu młodej panienki. Uczucia podobne jak je przechodził naród w chwili powstania, wytwarzają usposobienie, które w czasach normalnych trudno przychodzi zrozumieć. P. Czarnowska zapragnęła służyć ojczyźnie z bronią w ręku. Pod wpływem danych wrażeń ten sposób służenia ojczyźnie, chociaż była kobietą, wydał się jej rzeczą najodpowiedniejszą. Udaje się więc ukradkiem do obozu na Pragę i spotyka starszego wiekiem oficera, kapitana pierwszego pułku jazdy augustowskiej Koncewicza. Ten tłomaczy jej rozsądnie, po ojcowsku, trudności w wykonaniu szlachetnie powziętego ale niewczesnego zamiaru.

— Młoda jesteś, wątła; wojna to nie zabawa, trudów obozowych nie zniesiesz, a towarzystwo żołnierzy nie dla ciebie.

— Dziękuję za dobre rady, ale nie po nie przyszłam. Chcę służyć ojczyźnie jako żołnierz i koniec.

Wzruszył się poczciwy kapitan tą stałością i dopomódz obiecał. W kilka dni później panna Bronisława ubrana w mundur z kołnierzem ponsowym i takiemi wyłogami oraz z rogatywką na ostrzyżonej czuprynie, czekała na chwilę stanowczą. Stosownie do umowy zjawił się wieczorem ordynans kapitana Koncewicza z koniem wybornie ujeżdżonym, i tak w jego towarzystwie zajechała panna Czarnowska do obozu na Pradze. Weszła do namiotu kapitana, który był nieobecny bo na placówce nocnej, zawinęła się w płaszcz i usiadła w kącie. Tak noc całą przekawęczyła.

Rano zjawił się w namiocie z brzękiem ostróg major Tyszka. Zerwała się panienka i nie tracąc kontenansu z ukłonem wojskowym zameldowała się jako nowozaciężny kadet, czekając

rozkazów. Major poznał od razu, co się święci, i z grzecznym uśmiechem oświadczył, że wie dobrze, kogo przed sobą widzi...

Przerażenie ogarnęło zucha-dziewczynę, iż się przebranie w męskie sukmie na nic nie przydało, rozpłakała się, wyznała wszystko szczerze. Poczciwy major rozrzewnił się sam, przyrzekł opiekę, ale odradził stanowczo ukrywanie płci.

— Twoje oczy i uszy panieńskie nie zniosłyby tego, co się po obozach dzieje i mówi. Daleko lepiej, gdy ogłoszę otwarcie, kto jesteś, a oficerowie, ludzie honorowi, czuwać będą nad sobą, abyś nie była na wstyd narażona, inaczej straciliby dla ciebie szacunek, gdyby wiedzieli coś słyszała jako kobieta i na coś patrzała.

Rada była ojcowska i roztropna. Wieczorem przy apelu ogłosił major Tyszka przed frontem, że od tego dnia panna Bronisława (Barbarę opuszczono) Czarnowska mianowana została kadetem I pułku jazdy augustowskiej.

Stało się zadość gorącym życzeniom młodej Polki. Był to pierwszy i może jedyny przykład w polskiem wojsku, że kobieta, panna, jawnie i za zgodą władzy wojskowej przyjętą została do szeregów armii regularnej.

Józefa Kluczycka miała w roku 1831 rangę starszego felczera w dziesiątym pułku piechoty liniowej, a Joanna Żubrowa, markietanka(?) w wojsku księstwa warszawskiego, posiadała nominalnie(?) stopień sierżanta[1]) w 17 pułku piechoty, ale obie nie służyły w szeregu wojskowo, z bronią w ręku. Tak samo panna Emilia Platerówna z towarzyszką swoją, p. Maryą Raszanowiczówną, jeździły przy oddziałach powstańczych na Litwie w roku 1831, ale czynnego udziału w walce nie brały. Podobnie działo się z panną Pustowójtow w roku 1863, chociaż zrobiono z niej adjutanta Langiewicza.



Franciszek Stuck. **Portret kobiety.** (Studyum).

Koledzy otoczyli pannę Czarnowską życzliwą opieką w obozie i czuwali nad nią najtroskliwiej. Co się z nią działo od stycznia do września 1831 roku nie wiadomo. Zdaje się, że przez ten czas w bitwie żadnej udziału nie brała.

Nadszedł dzień 7 września, rozpoczął się szturm Warszawy. Radzono pannie Bronisławie, aby pozostała przy sztabie i nie narażała się na kalectwo lub śmierć albo gorszą jeszcze niewolę i poniewierkę od rozjuszonego żołdactwa. Nie chciała słyszeć o chowaniu się w sztabie.

— Gdzie drudzy pójdą i ja tam będę.

Pierwsza dywizya jazdy jenerała

[1]) W kompanii kapitana Grzegorza Plucińskiego służyło stadło małżeńskie. Mąż, Maciej Żubr, był porucznikiem, żona sierżantem. Oblicze śniade, rysy grube, ruchy śmiałe, nie łatwo pozwalały domyślać się kobiety. Była odważna i poczciwa, wszyscy mieli dla niej cześć. Wojcicki, w przeciwieństwie do Brenszteina twierdzi, że szła w ogień nieprzyjacielski, pierwsza wdzierała się na szańce. Szanowana przez wszystkich umarła r. 1852 (*Cmentarz Powązkowski*, II. 233). Nazwisko Żubrowej spopularyzował Wacław Gąsiorowski.

Jagmina, posunięta z Mokotowa, stanęła w linii bojowej pomiędzy rogatkami: wolską i jerozolimską. Pułk augustowski, wchodząc w skład tej dywizyi, zajął stanowisko przy rogatce wolskiej. O drugiej po południu posłyszano pierwsze strzały nieprzyjaciela. Przez trzy godziny stał pułk, w którym służyła p. Czarnowska, w asekuracyi bateryi, patrząc na toczącą się krwawą walkę. Straszne to takie bezczynne stanie w asekuracyi dział. Przykład kolegów dodawał odwagi pannie-kadetowi. „Krew nie drgnęła we mnie — pisała później — stałam jak mur, choć nad głową moją kule armatnie świstały“.

Upadł przed nią podoficer, raniony granatem, leżał obok koń zabity. Nadbiegł adjutant na shasanym rumaku z rozkazem: „Naprzód!“ Szarża kawaleryi się rozpoczęła i panna Bronisława znalazła się w wirze walki. Inaczej wyglądała wojna w poezyi i w wyobraźni a inaczej w rzeczywistości, gdy oko wylękłe patrzy na strumienie krwi, ucho chwyta jęki konających. Przerażająca ohyda ludzkiego mordu występuje w całej zgrozie.

Panna Bronisława odurzona mimowoli tem, co się w koło niej działo wypuściła bezwiednie pałasz z słabo dzierżącej go dłoni. Postrzegł to oficer Tymowski, przyglądający się jej od pewnego czasu i widząc ją bezbronną śród groźnego niebezpieczeństwa, przyskoczył na koniu i wrzasnął gniewem, nie wytwornie ale po żołniersku:

— Za front, smarkaczu! gdzie pałasz? zginiesz!

W tej samej chwili koń Czarnowskiej, kulą z karabina ugodzony w łopatkę, przykląkł i panna Bronisława zsunęła się na ziemię. Jazda polska pędziła przeciwnika ciągle przed sobą i pozostawiała z tyłu plac wolny. P. Czarnowska wzięła za uzdę konia, lekko tylko rannego, i poprowadziła go w Aleje Jerozolimskie, gdzie stał sztab. Z radością witali ją oficerowie i żołnierze, dopytując się troskliwie, czy się jej co złego nie stało?

Wyprosiła sobie nowego konia i drugą szablę, i popędziła przez pole bitwy, zasłane trupami rosyjskich żołnierzy, do swojego pułku. Chwilową słabość nagrodziła później rzeczywistem męstwem. Gdy po poddaniu się Warszawy wojska polskie cofały się ku granicom Królestwa, pułk augustowski będący na skrzydle wojsk dążących ku granicy pruskiej, ścierał się z nieprzyjacielem. P. Czarnowska brała w każdej akcyi pułku żywy udział a dawny wstręt do walki zamienił się w rycerską odwagę. Pod Sierpcem, w gubernii płockiej, gdzie pułk augustowski zaatakowany był przez Rosyan, rzuciła się w kilka koni w sam środek nieprzyjaciela i zadała mu znaczne straty. Długo nie można jej było po bitwie odszukać, aż ją znaleziono przygniecioną zwłokami zabitego konia. Omdlała była, ale nietknięta.

(Dokończenie nastąpi).

Morskie oko.

Bajka z Tatr.

Widzicie te skały a turnie! Hań! Nie było tego drzewiej, a ino wszędy zboża się złociły, owies po pas, a pszenica to juści taka, że chłopa byś w niej nie uwidział.

Lasy też były nieprzeniknione, jako i teraz. Hej!

Tu, gdzie te kamieniska a piarki [1]) przemieszkiwał w czasach starodawnych wielmożny pan, wojewoda czy hetman, a zwał się Morski.

Majątki ogromne miał, pola i bory, a wszystkie te dobytki przeznaczył dla córki, którą, że była jedynaczką, sierdziście miłował.

— Kocham cię też — powiedział do niej — i jakie są tam skarby na świecie, nic one dla mnie przy tobie nie znaczą. Uczynię wszystko dla ciebie, dziewko moja, ale na jedną rzecz tobym nigdy nie zezwolił; nie pójdziesz za człowieka obcego rodu, choćby i sam książę, albo i król był, a ino za swojaka.

Tak jej, tej córce swojej, powiedział pan Morski. Hej!

A wiecie, o granicę, o miedzę siedział na swem gnieździe węgierski książę, albo i król, który ujrzawszy raz przepiękną córkę pana Morskiego, upodobał się w niej do znaku i sumitował się, jako że bez niej żadną miarą żyć już nie może i za żonę mieć ją musi.

Słał ci też posły za posłami, ale pan Morski twardą duszę miał.

— Daremne — powiada — zabiegi i wszelkie starania, bo jak kto kraj swój umiłował, to tego, co mu jest najdroższem, obcemu ziemi nie odda. Tak mówił. Hej!

Co się nie zdarzyło: wybuchnęła wielka wojna.

Nie wiedzieć — Tatarzy, czy Niemce najechali kraj, palili a kradli, ludzi na pal wbijali, jak kto hyrny był, a uledz im nie chciał, albo pędzili w jasyr, w niewolę.

Trzeba się było wojewodzie pokwapić, chmarę narodu zebrać, uzbroić w kolczugi a miecze, pancerze żelazne dać i z nimi ruszyć na wroga, ażeby czuł, iże są ludzie rycerni na świecie, którzy swej ziemi bronić udzierżą. Hej!

Tak też uczynił, jako że rad był i mocen dopomódz ojczyźnie, a córkę, iżby węgierskiego gagatka oko za nią nie mierziło, zamknął do klasztoru.

Zasię na odjezdnem wielkiem przekleństwem jej zagroził, jeśliby dla przestrogi ojcowskiej posłuch zatraciła.

A on ci cudzoziemski pan korale i różne klejnoty dziewce przekazował, srebrne zamczyska i złociste komnaty zbudować przyrzekał, a czarownice-cyganichy takie rzucały na nią cygańskie uroki, że córka pana Morskiego wolę rodzica podeptała i na ucieczkę z klasztoru zezwoliła.

Sam ów książę po nią przybył, na mnicha się przeobraził, do wrót klasztoru zapukał i o schronisko poprosił.

A kiedy w klasztorze wszystko posnęło, a czarownice nieczystemi zamówieniami psy do milczenia zmusiły, książę panią uprowadził, zaraz się z nią ożenił i w pałacu koralowym między złoto a drogie kamienie osadził.

Było im bardzo dobrze. Żyli w szczęściu dzień za dniem, rok za rokiem, siedmioro dzieci mieli, a wszystkie jak anioły.

Że zaś rodzic z wyprawy wojennej nie wracał, a wieści szły po okolicy, iż zginął, tak księżna o przekleństwie zapomniawszy, żadnemu frasunkowi przystępu do duszy swej nie przyznała, ino w pieszczotach z dziećmi będąc, po łąkach kwiecistych biegać i tańczyć niby sarna lubiła.

A pod wieczór wróżki przeróżnemi opowieściami do słodkich snów tę szczęśliwą księżnę tuliły. Sny były słodkie, ale nie wieczne. Hej!

Bo wiecie, jednego razu, jako że Panjezusowi wiadomo, co robić, a wszelkie nieposłuszeństwo i zdrada ukarane być muszą, wojewoda w wielkiej sławie w dziedzinę swoją zawitał i o córkę przepytywać począł.

O małoć mu serce nie pękło z bólu, gdy mu słudzy a domownicy koralowy pokazali pałac. W bisiorach i klejnotach, w perłach i złocistych zausznicach, jakich nasi nie widzieli nawet w Budzinie [2]) czy Kieżmarku, wyszła córka naprzeciw niemu, aby go pozdrowić i szczęśliwością swoją się pochwalić.

Ale on, stary Morski, jako że się dochował — mówię wam — nie królewny Wandy, ino plemienia, co sobie

---

[1]) Tak nazywają w Tatrach usypiska głazów.

[2]) W Budapeszcie.

umiłowało obcego człowieka, niby tą surmą wojenną, strasznym zagrał gniewem; przeżegnał się i nogą tupnął z taką mocą i potęgą, że zamek koralowy w proch a gruz się w te tropy rozsypał. Hej!

I wraz przeraźliwem a obiecanem zagrzmiał przekleństwem, niby ta skała, kiej się z Koziego[3]) albo z Byczynowych[4]) oberwie i w przepaść z trzaskiem runie, że niech się też wszystko w kamień obróci, łany, grody i cały dobytek cudzoziemca. Hej!

A kiedy córka wywiodła mu i dzieci, iżby zapalczywość jego przebłagały, on ani o nie nie miał żadnego baczenia, tylko jeszcze gwałtowniejszym zaszamiał poświstem, nijak ten halny wiatr, co bory kosi, by trawę, i pohamować się nie mogący, powiedział:

Ni ty moja córka, ni to wnuki Morskiego! Rozpłyń się we własnych łzach, a dzieci twe niech się w nich potopią!

Tak ją przeklął ten starzec i wszystko od razu w kamień się obróciło. Wyrosły te góry — i Żabie i Mięguszowiecki i Cybrzyna i Wrota i Miedziane i wszystkie te co je widzicie na około. A ta haw turnica, co się nazywa „Mnich,“ powstała przez to, że ten węgierski książę, przerażony, za mnicha się przebrał, jak ongi, kiedy to u wrótni klasztornych dziewki się dopukiwał, i uciec chciał, ale przekleństwo miało kroki bardziej wartkie i drogę mu zastąpiło.

Wiedzący to, pani do wróżek w strasznej rozpaczy po pomoc szła, ale te niczego uradzić nie mogły, ino każda po jednem dziecku porwawszy, uciekać poczęła.

Ale kamienie rosły, że przejścia żadnego nie było. Wróżki z onemi dzieciętami siadły i pewnej śmierci czekały.

Nic naokrąg nie usłychnąłeś, tylko jęki, płacz i żałowanie, że ginąć z żałości dzieci matki nawoływały, a onać nadobgiszy, płakała z niemi i płakała, jak ta Siklawica[5]) co z szumem spływa ku Roztokom.

I, wiecie, z tych łez zrobiło się siedem stawów, a rosły tak, że się one niewiniątka w nich potopiły — w każdym stawie jedno dziecię leży.

A księżna, chcąc uciec przed rosnącą tą wodą, schroniła się na wielką turnię, na Rysy, i tu oczy do cna wypłakała.

Jedno z nich spłynęło z wirchu — wiecie — tym żlebem, gdzie teraz zalega śnieg wieczysty, i utworzyło staw, który, że powstał z oka córki Morskiego, od tych czasów Morskiem okiem się zowie.

W żalu nieopisanym księżna wszystkie swe skarby i klejnoty w jezioro to rzuciła, bo już jej były na nic. Ludzie je pono wyłowili, te skarby, ino że im szczęścia nie przyniosły.

A potem, gdy już na świecie nic nie było, tylko góry i wody, sama się w jednym z tych stawów, które tu widzicie — rozpłynęła.

Czarna jest woda w nim, bo pani w czarnej żałobie na śmierć szła.

Słychać ci tu nieraz jęki i narzekania, ale dla duszy tej z nikąd ratunku niema, zaś ktoby się nad nią zlitował, odrazu w zaspach śnieżnych zginie na wieki. Haj!

Jan Kasprowicz.



Morskie Oko.

[3]) i [4]) Szczyty w Tatrach

[5]) Szczyty w Tatrach.

Krótki szkic wzgl. opis strojów ludu pałuckiego.

Gospodarz na rycinie umieszczony nazywa się *Józef Brzykcy*. A że więcej jest Józefów tego nazwiska (krewniaków i syn nawet), nosi nasz bohater fotografowany przezwisko *„Kubryn“*. (Ojcu jego w roku 1852 zmarłemu na imię było: Jakób (Kuba-Kubryn!) — Niestety w powiecie szubińskim bardzo mało już strojów i obyczajów narodowych. Wieś Żędowo, to oaza na Sacharze, gdzie za piasek szczep Germanów w zwartym szeregu — leży i odpoczywa po tryumfach.

Oto krótki, króciutki szkic względnie opis strojów (i zwyczaji) ludu pałuckiego, którego stolicą Żnin. — Chłop wdziewa długie buty na nogi, świecące się zdala, podkówkami podbite, na białą płócienną koszulę własnego domowego wyrobu bierze w dni codzienne czerwoną lub niebieskawą w kwiatki „jakę“, w dni zaś odświętne wdziewa na siebie kamzelę, kaftanem zwaną bez rękawów, na „haftki“ spinaną, przepasuje się pasem na tym kaftanie, albo na wierzchniej sukni, którą „wołoszką“ nazywa. Wołoszka to sukmana — siermięga do ziemi się-

gająca, na plecach w pasie sfałdzona. Kolor tej wołoszki i kaftana jest czarny albo granatowy. Na głowie nosi kapelusz nizki ze szerokiemi piórami. Młodzież przyozdabia kapelusz latem w kwiatki lub pawie pióra. Zimą noszą starzy kmiecie tak zwane „kapturki“ na głowie z klapami na uszy lub też czarne rogatywki. Młodzież stroi się w czapki naszych teraz czasów. Na szyi chustka czarna jedwabna. Kobiety mają na głowie „kapki“, rodzaj szerokiego w miejsce krawatki czepca z karbowaną koronką w koło czoła, przepasaną drogą chustą jedwabną czerwonego lub zielonego koloru; na szyi ma każda korale prawdziwe a im bogatsza, tem więcej sznurów. Dziewczyny przykrywają głowę chustką długą czarnego koloru (rodzaj zakonnic, gdy się z tyłu na nie patrzy), a że i tu korali nie braknie, można się domyśleć.

Kobiety zamężne pod „kapką“ podstrzyżone mają włosy, mężczyźni dłuższe włosy noszą, na czubku głowy rozpołowione i do góry podczesane.

Co do jedzenia, to z jędrnych potraw ono się składa. Rano z polewki i klusek ze skrzeczkami lub z mlekiem w dni postne, w południe z perek, kapusty z kawałkami schabu lub mięsa, kwasu czerwonego niby najlepsze Bordeaux francuskie z grochem gotowanym lub też innych wiktuałów zdrowych itd.

Nie dziw, że lud czerstwy, zdrowy i silny. Zmarły niedawno gospodarz pewien 91-letni mógł zjeść pięć jaj zimnych na twardo gotowanych we Wielkanoc i nie czuł najmniejszej niedyspozycyi żołądka. Taki to nasz lud starej daty. *Ks. M. B.*



Kmieć Brzykcy w staropolskiem ubraniu ze wsi Żędowa (w okolicy Żnina na Pałukach).

Zjednoczenie zawodowe polskie w Westfalii i Nadrenii.

Zaznaczyliśmy już kiedyś w „Pracy“, że nie myślimy przykładać ręki w piśmie naszem do zaognienia stosunków wśród braci naszych na obczyźnie. Oświadczyliśmy to w tej myśli, że wśród sporów cierpieć muszą nawet instytucye te, które służyć mają ogólnemu pożytkowi.

Jedną z tych instytucyi jest niewątpliwie „Zjednoczenie zawodowe polskie“. Jest to organizacya robotnicza — w podwójnem znaczeniu: przez robotników założona i do dziś prowadzona — i robotnikom służąca.

Wiadomo, że stosunki zarobkowe od dziesiątek lat przedstawiają następujący obraz: kapitał się organizuje i łączy, by wyzyskać — robotnika, a to pcha robotnika, by sam się łączył i organizował.

Stosunek ten musieli zrozumieć w pierwszym rzędzie rodacy nasi na obczyźnie, jako bliscy, codzienni i naoczni świadkowie tej walki kapitału z robotnikiem, tej walki tak jaskrawo rozwijającej się w przemysłowym okręgu nad Ruhrą.

Zanim założono „Zjednoczenie“ wielu rodaków należało do obcych organizacyi, szczególnie do chrześciańskiego związku zawodowego (christlicher Gewerkverein). Czuli oni się jednakże w tej organizacyi nie bardzo szczęśliwi i pragnęli własnej, polskiej.

Ta polska organizacya założona została — w grudniu 1902 roku. Będzie więc niedługo liczyć lat cztery. Nie długi to okres czasu — a jednak różne były Zjednoczenia koleje.

Nie będziemy wspominać o waśniach wewnętrznych — ani o jej przyczynach, bo to są bądź co bądź niemiłe wspomnienia.



Członkowie Zarządu Zjednoczenia zawodowego polskiego w Bochum.

Wojciech Sosiński,
prezes.

Korpus,
sekretarz.

Jankowiak,
skarbnik.

Raczej z uznaniem wspomnieć nam należy o tem, że „Zjednoczenie“ rosło od samego początku szybko, może nieco nawet za szybko, tak, że dziś podobno liczy przeszło 30 tysięcy członków.

Owoc to trudów niemałych, owoc znoju wielkiego, zwłaszcza, gdy się zważy na niemałe przeszkody wśród rodaków naszych jako to: brak oświaty i brak narodowego uświadomienia.

Ale „Zjednoczenie“ idzie przebojem, potrzebę należenia do organizacyi obronnej robotnik każdy ma — i to też jest warunkiem dalszego niewątpliwego rozwoju Zjednoczenia, którego mu — z całego serca życzymy, zasyłając mu to życzenie jego własnem hasłem: „Szczęść Boże“.

DZIAŁ POWIEŚCIOWY.

Rzeź Pragi.

Powieść historyczna przez **Teodora Tomasza Jeża.**

8)

(Ciąg dalszy.)

— Cóż?... jakże?... — były najpierwsze jego zapytania.

— Głód i mróz pokonały Francuzów... — odparł Michał.

— Wiem... wiem... — rzekł hrabia, i kiwnął smutnie głową — Bogu dzięki, że ciebie oglądam zdrowo i cało... To nieszczęście... To wielkie nieszczęście.....

Wiadomo, że wielka armia napoleońska wyprawiła się do Moskwy bez magazynów. Z nią żadnych nie było zapasów. Napoleon zamierzył żywić żołnierzy kosztem Moskali, a Moskale, cofając się, palili i niszczyli wszystko.

Na głównym więc trakcie, po którym szły główne siły, nie było co jeść, i trzeba było wysyłać oddziały na boki, dla furażowania tak dla koni, jak dla ludzi. Trzeba było wysyłać oddziały coraz mocniejsze, bo im głębiej w moskiewski kraj armia wchodziła, tem nieprzyjaźniejszą stawała się ludzkość, tem śmielej i zuchwalej mieszkańców wspierały rozsypane oddziały kozackie. Więc obwarowywały się zasiekami i stawiły opór, często trudny do przełamania. Furażujące oddziały musiały orężem zdobywać każdy chleba kawałek, często w postaci niemielonego ziarna lub niemłóconego zboża, każdą wiązkę siana i każdy garniec obroku, o które walczyły i nie zawsze szczęśliwie. Zdarzało się, że przepadały bez wieści, gdy niespodzianie natknęły się na kozacką zasadzkę.

Tak było, kiedy armia, zwycięska pod Smoleńskiem i Borodinem, szła naprzód: cóż dopiero, kiedy spustoszonym szlakiem wracała... Przepadających oddziałów pomnożyło się. Kozacy napadali, już nie na odleglejsze i słabsze posterunki, ale na obozowe stanowiska, nie dając chwili wytchnięcia zgłodzonej, zchłodzonej i znużonej armii.

Losy armii długo i nieodstępnie podzielał Grzybowski, tak wówczas kiedy szła naprzód, jak kiedy się cofała. Nie od rzeczy będzie i może nam tego czytelnik za złe nie weźmie, jeżeli przytoczymy kilka wypadków, które się mu przytrafiły.

Szesnasty pułk ułanów, w którym służył Stanisław, przykomenderowanym był do korpusu kawaleryi, dowodzonego przez Latour-Maubour*). W pewnem miejscu (miejsca i dat dokładnie oznaczyć nie umiem) kawalerya obozowała. Kozacy niepokoili obóz, który rozłożonym był na obszernej równinie, gładkiej i potoczystej, porosłej gdzieniegdzie krzakami, a na horyzoncie siniejącym lasem uwieńczonej. Z pomiędzy krzaków co chwila wysuwali się Dońce, z przeraźliwym piskiem rzucali się na obozowe warty i zanim do starcia przychodziło, zawracali konie i ginęli w stepach.

Nieustanne te alarmy niecierpliwiły i nużyły potrzebującego spoczynku żołnierza. Trzeba im było zaradzić.

Kiedy potrzeba zaradzenia wszystkim czuć się dała, przybył od jenerała adjutant, z propozycyą do oficerów szesnastego pułku:

— Jeżeli panowie oficerowie chcą się zabawić w przepłoszenie kozaków, niech każą pokulbaczyć konie, uzbroją się w lance, i niech wyjadą z jenerałem...

Propozycya jednogłośnie została przyjętą. Wszyscy oficerowie szesnastego pułku ułanów, wyjąwszy tych tylko, których dyżur i służba w obozie zatrzymywały, w niespełna pół godziny w liczbie około czterdziestu ludzi, wystąpili konno i zbrojno, a na ich czele jenerał Latour-Maubour.

Jenerał był: człowiek niewielkiego wzrostu, mocny brunet, żywych oczu i wyrazistych rysów oblicza. Uśmiechnął się z zadowoleniem, kiedy wyjechał przed front, z samych oficerów na szeregowce przemienionych sformowany. Zakomenderował i poprowadził w step wyborowy swój oddział.

Nie długo szukano Kozaków. O parę staj od obozu, pokazała się słaniająca po boku setnia.

Więc na nią!...

Setnia taką pokazała minę, jakby miała ochotę przyjąć szarżę. Stanęła, rozwinęła się w bojowy szyk, poszła naprzód, — lecz zanim do starcia przyszło, z przeraźliwym krzykiem rzuciła się wstecz i kupą zmiatać poczęła.

— Kłusem!... — zakomenderował jenerał.

I oficerowie szesnastego pułku, we dwa uszykowani szeregi, równą linią, posuwistym kłusem ścigali kozaków.

W naturze człowieka jest coś psiego czy kociego. Gdy kto od niego ucieka,, to się chce gonić, gonić do upadłego. I oficerom szesnastego pułku chciało się puścić w czwał i, brać pojedyńczo uciekających na lance i szable, lecz przodem jechał jenerał, a jechał kłusem, więc mimowolnie trzeba było do niego się stosować.

Uciekający dobrze uciekali, ścigający ścigali równo i porządnie, aż na krańcu równiny, w odległości milowej od obozu, znalazł się dół, z boków lasem zarosły, w który kozacy wpadli i przepadli.

— Stój!... — zawołał Latour-Mauboure.

Oddział stanął i jenerał, pełniący tymczasowie funkcyę plutonowego dowódzcy, już był wykomenderował flankierów, dla przejrzenia dołów i lasów, gdy w tem, z przodu, z boków i z tyłu wysypały się chmury kozactwa.

Niebezpieczeństwo stało się naglącem.

Kozacy jednym zapędem, mogli ogarnąć i unieść ze sobą słaby oddział, lecz nim go dopadli, już pierwszy szereg zaszedł w tył drugiego i stanął tak, że obydwa szeregi sformowały dwóchstronny front i najeżyły się lancami. Konie oparły się prawie nogami o ogony, a jeźdźcy sposągowieli w groźnej postawie, nasrożonej grotami i uzbrojonej proporcami nieruchomości.

Z krzykiem i wizgiem rzucili się kozacy. Nie nacierali jednakże, a tylko biegali w koło i usiłowali rzucić popłoch pomiędzy konie, licząc na to, że gdy te się trwożą, to szereg się złamie i wówczas cały oddział bez boju wpadnie im w ręce.

Mylną jednakże była ich rachuba. Konie stały jak wryte i jeźdcy stali — nieruchomie, milcząco, spokojnie, z lancami do ataku, z szablami na temblakach, gotowi zginąć, lecz zdecydowani drogo życia swoje sprzedać.

Jenerał stał na skrzydle, rzucając kiedy niekiedy okiem po szeregu i zalecając od czasu do czasu nieruchomość. Obok jenerała stał Stanisław.

Kozacy, po odznakach, poznali jenerała i oficerów tem mocniej chodziło im o to, aby ich wziąć żywcem.

— Zdajcie się!... — wołali.

Na to nie było żadnej odpowiedzi.

Tak upłynęło pół godziny, może więcej. Konie prychały od kurzawy, którą wzbiły kopyta czwałujących w koło tłumów, i strzygły uszami.

Ułani nie ruszali się.

— Jeżeli mnie oko nie myli... — rzekł po cichu Stani-

*) Wypadki poniżej przytoczone, a do Stanisława zastosowane, nie są bynajmniej zmyślone. Przytrafiły się one memu ojcu, który robił kampanię napoleońską w Moskwie. Słyszałem je opowiadane i przez ojca i przez innych.

sław do jenerała — widzę od strony obozu jakiś tuman na polu... Może to nasi, a może nowe setnie kozackie...

Jenerał nic nie odpowiedział, tylko wzniósł się na siodle i popatrzył przez lunetę — i po chwilce, chowając instrument optyczny, a ujmując szablę, zakomenderował do ataku.

— Vive l'empereur!... — krzyknął.

Okrzyk ten powtórzyły szeregi i jak były w dwie przeciwne strony uszykowane, tak się w dwie strony rozskoczyły i rzuciły na kozactwo.

Polskie „hura!“ ozwało się wśród tententu. Kozacy pierzchli. Tylko za nimi las i krzaki zaszumiały. Dwóch zaledwo czy trzech dosięgły lance ułańskie.

Tuman na polu pochodził od pułku kiryssyerów francuskich, którzy, uwiadomieni o niebezpieczeństwie Latour-Moubourg'a, spieszyli na wyręczenie swego jenerała.

W tej okazyi Stanisław nie odznaczył się, bo niczem nieuwydatnił się na tle ogółu. Wszyscy jego spółkoledzy okazali odwagę i zimną krew, i on okazał odwagę i zimną krew, ale więcej nic. Więcej wprawdzie nie potrzeba, aby powiedzieć o człowieku:

— Ten odważny...

Bo zimna krew jest najdokładniejszą miarą, najlepszym odwagi dowodem. Słabą jej stroną jest ta, że nie tak błyszczy jak zapał, nie tak bije w oczy, chociaż jest pewniejszą i więcej ma wartości.

Stanisław był odważnym, a główną jego odwagi cechą była zimna krew. Dowodził on jej tyle razy, ilekroć trafiało się mu w niebezpieczeństwie rozporządzać bądź sobą, bądź innemi. Jednym oka rzutem ogarniał położenie i umiał się do niego zastósować.

Dla przekonania o tem czytelnika, opowiem jeszcze jedno zdarzenie, w którem on już sam, jako wódz, działał.

Razu pewnego został wysłany na straconą placówkę.

Oficerowi lub podoficerowi, wysłanemu na taki posterunek, z którego szansa powrócić równa się jednemu, a szansa zginąć lub dostać się do niewoli dziesięciu, nie powiada się, że idzie na przepadłe. Zaleca się mu tylko szczególna czujność i ostrożność z tym dodatkiem, aby, jeżeli zostanie napadniętym, bronił się do upadłego, zwłaszcza ogniem. — Ten dodatek, w tym celu się robi, żeby huki wystrzałów zasygnowały z daleka nieprzyjaciela. Nowicyusz bojowy, oficer lub podoficer, nie domyśla się zwykle, o co chodzi. Doświadczony jednakże pozna od razu, w jakim celu to lub owo mu poruczają. A że Stanisław był doświadczonym, przeto ani chwili nie wątpił, że jest na straconej placówce, ale też ani trochę go to nie strwożyło. Rozporządził kolej, rozstawił wedety i czuwał.

Noc przeszła spokojnie. Zawitał poranek. Zarumieniła się jutrznia, a poza jutrznią wytoczyło się na niebo słońce. W okolicy było cicho i spokojnie. Na drodze, której dozór poruczonym był Stanisławowi, żywy duch się nie pokazał. Tylko niekiedy wirowy wicher rozbijał tuman i unosił kurzawę pod obłoki.

Słońce coraz wyżej wytaczało się na niebo, a wciąż nic spokoju nie przerywało, do tego stopnia, że od swoich nawet, patrole i podjazdy, których parę przeciągnęło podczas nocy, nie pokazywały się. Żołnierze poczęli sobie przykuczać, tem bardziej, że po słońcu miarkowali porę zdjęcia posterunku.

— A która tam godzina, panie poruczniku?... — pytał ten i ów.

— Jeszcze wcześnie... — odpowiadał ogólnikiem, unikając bliższego określenia czasu, który mijał godzinami, ósmą, dziewiątą, dziesiątą i nakoniec jedenastą.

— Zapomniano o nas na posterunku... — rzekł Stanisław do siebie — albo, może, nie zdołano go zdjąć... Może jesteśmy odcięci...

Prawdopodobieństwo tego przypuszczenia było tak wielkiem, że Stanisław, zważywszy dobrze wszystko; zdecydował się zciągnąć warty i wracać do obozu.

Droga prowadziła wąwozem, dalej wychodziła na górę i gładką równiną dochodziła do miejsca, na którem rozłożył się obóz.

Zaledwie oddział Stanisława ruszył z miejsca, kiedy na górach pokazali się kozacy, o kilka staj poprzedający ułanów.

— Poruczniku!... kozacy!... — rzekł jeden z tych ostatnich — a to te psią-krwie wyprzedzili nas...

— Kłusem!... — zakomenderował Stanisław.

Oddział ruszył kłusem, i wkrótce dały się w górach słyszeć okrzyki:

— Francuzy!... Francuzy!...

Kozacy znajdywali się na przodzie, i gdyby to było na równinie, mogliby zabiedz drogę. Lecz z góry, dość w tem miejscu przykrej, szło im to z trudnością. Puścili się, ale musieli się zatrzymać, pozsiadać z koni i biedz na dół, prowadząc je w ręku. Tymczasem Stanisław i jego podkomendni pomiernym kłusem zbliżali się do miejsca, w którem droga wchodziła pod górę. Jaki taki z ułanów pocisnął konia i wysunął, gdyż widocznem było, że niewola jest pewną, jeżeli tylko kozacy, którzy mało dziesięćkrotnie przewyższali ułanów liczbę, dostaną się na dolinę. Lecz w takim razie, Stanisław zajeżdżał, spieszącego się nawracał do kolumny i upominał:

— Wolno!... — nie łechtać koni ostrogami!... Kłusem i razem!...

Żołnierzom się zdawało — i wielu by się wydało — że w tym razie najnaturalniejszą rzeczą było, co koń wyskoczy odsadzić się od kozaków, pomiędzy sobą a nimi pozostawiając jak największą przestrzeń.

Stanisław jednakże inaczej rzecz tę rozumiał. Odsadzić się, nie sztuka: lecz to znaczyło, zmęczyć od razu konie i nie módz wydobyć z nich sił przy końcu pogoni, która właściwie odbyć się miała dopiero na równinie. Rozmiarkował więc czas potrzebny i tak swój oddział prowadził, że kozacy zbiegli na dolinę o półtora sta kroków za nim i wsiadali na konie w chwili, kiedy on wjeżdżał pod górę.

— Nie ujdiosz (nie ujdziesz)!... — ozwały się okrzyki.

— Zwolnić kłus!... — zawołał Stanisław.

I jadąc bokiem, prowadził oddział prawie truchtem, słychać było sapanie kozackich koni, wysilających się pod górę. Półtorastokrokowa przestrzeń coraz się zmniejszała. Niektórzy z Dońców tuż dochodzili ułanów. Stanisław przy nich pozostał, dla odpędzenia pojedyńczych zuchów, i nie przyspieszając ani trochę szybkości, wyprowadził ułanów na górę, i tam gdy przed nimi roztoczyła się równina, a w dali zaczerniał obóz, puścił ich w pęd, przemówiwszy do nich tych kilka słów:

— Teraz, wiara, ratujcie się!... Ruszajcie, co tchu szkapom stanie!...

Ułani kopnęli się z kopyta, a Stanisław — został. — Uczynił on to dla tego, że wiedział, iż kozacy łakomszymi są na oficerów, jak na prostych żołnierzy. Zawrócił konia w bok, jakby usiłując dostać się do majaczącego w dali lasu, i za nim pogarnął się cały tłum pogoni. Żołnierze tymczasem zyskali odległość, która, chociaż się Dońce za nimi opatrzyli, nie zmniejszyła się i pozwoliła im wszystkim dopaść swoich szeregów. Z tem większą za to zapalczywością ścigany był Stanisław. Kozactwo sunęło za nim długim klinem, którym on w zygzaki po polu wywijał.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Marya Konopnicka.

W dolinie Skawy.

Jeszcze się kwietniowe słońce mało co nad świerki bliskiego lasu podniosło było, kiedy od Bud żywieckich [1]) rozległ się śpiew męski i kobiecych głosów. Zdyszany był nieco i rwący się w sobie, jakby ludzie, śpiewając, szli, a idąc, przyśpieszali kroku.

Jest coś głęboko przejmującego w takim śpiewie z ust niewidzialnych, nad ziemią płynącym. Ptak, wiatr, strumień zwijają wtedy skrzydła i przestają dla twych uszu lecieć, szumieć, brzęczeć. Drzewa stają nieruchome, milczące, a trawy drżą tak, że widzisz brylantowe migotanie rosy. Słuchasz i śni ci się baśń stara o pieśni owej, co sama po ziemi chodzi, oczy ślepe ma i wyciągnione przed siebie ręce. Tak stara jest, jak świat, tak biedna, jak bezchlebne kłosy, ale gdyby jej nie było, żadna mogiła nie porosłaby zielem, a na ołtarzu gasłyby paschalne [2]) świece. Bosa chodzi, jedną tylko lnianą koszulę na sobie ma, nie zatrzymuje się nigdzie, nie łaknie ni snu ni wody, pragnąca nie jest. Na kogo się natknie, ten za nią iść musi i tak, jak ona, śpiewać, ślepym być i wyciągnięte ręce mieć w powietrze ciche i w wichry jęczące. A choćby król był, boso musi iść, iżby się zbliska ziemi tknął, czy to w kwiat, czy w ciernie ugodzi, inaczejby się w kamień obrócił, którym szatan co rok grób Chrystusów przywala, iżby zmartwychwstania na świecie nie było. Ale zmartwychwstanie jest na świecie, bo takich, co za pieśnią boso po ziemi chodzą, nigdy nie zabraknie.

Przy końcu świata odślepnie pieśń i obaczy drogi jakiemi chodziła, bo gwiazdy w nie padają, kiedy z nieba lecą; ale teraz nie wie, która droga jest i gdzie wiodąca. Lada pacholę wodzićby ją mogło, gdyby nie to, że ręce wysoko nad ludzkiemi myślami podniesione trzyma.

Śpiew coraz wyraźniejszym się stawał. Prosta, surowa niemal, na kilku niskich nutach trzymana melodya miała w sobie jakąś pierwotną, liturgiczną [3]) powagę i siłę. Z pagórków szła, w dolinę Skawy biegła, wypełniając sobą coraz szersze kręgi wielkiej, rannej ciszy.

Myślałam zrazu, że to pątnicy, którzy się tu często po drogach snują, pielgrzymując do Zebrzydowskiej Kalwaryi. Ale nie byli to pątnicy.

Na wyrębie, w pół wysokości stromego dosyć zbocza, ukazał się niewielki wóz, zaprzężony w jednego konia. Przy koniu szedł człowiek z odkrytą głową, za wozem gromadka mężczyzn i kobiet. Mężczyźni mieli krótkie, czarne spencery, kobiety płachty lniane, grubym węzłem u szyi związane. Szli wszyscy krokiem sporym, wymijając na wyrębie pnie drzewne i gęste krzaki jałowcu. Na stromych, kamienistych spadkach mężczyźni przytrzymywali trzęsący się wóz, z obu stron podpierając ramieniem półdrabki. Wóz był głęboko wysłany ciemną zielenią świerkowych gałęzi, nad któremi srebrzyło się coś i złociło w słońcu. Kiedy się zbliżył nieco, zobaczyłem siwą, trzęsącą się z nim razem głowę ludzką i świeżo zbitą ze smolonych tarcic trumnę. Pogrzeb to był z gór idący do odległego cmentarza.

Na trumnie czerniał krzyż smołą zrobiony, głowa zaś należała do skulonego w półkożuszku na rozworze dziada, który się w zieleń świerkową tak wszył, że go mało co widać było, i tylko włosy jego długie, prawie białe, lekkim poruszane wiatrem, srebrzyły się zdala w porannem słonku, niby skrzydła gołębie nad trumną bijące. Dostawszy się na gościniec z wyrębu, wóz potoczył się wolniej, a kiedym się złączyła z gromadką, pieśń, na ostatniej spadzistości przerwana, zabrzmiała znowu prosta i surowa:

...Ciężko ci jest na świat iść, ciężko i odchodzić,
Miałby człowiek wolę chcieć, chciałby się nie rodzić.
Chciałby minąć wojnę tę, co się żywot mieni,
Chciałby sobie cicho spać u matuchny ziemi.
Pątowałem [1]) po drogach, pątowałem w smutku;
Wiela było starości [2]) a niewiela skutku;
Teraz idę w wieczny mir, na ciche pokoje,
Teraz mi się zaczną już mile wczasy moje.

Nuta rwała się trochę, bo ludzie zmęczeni; dziad tylko, podniósłszy na modre, świetliste powietrze czerwone oczy swoje, szeroko patrzał w niebo i śpiewał donośnie, też rozpoczął nową strofę suchym, cmentarnym głosem:

Naciągałem się pługa, naciągałem brony.
Był ten zagon ciężkiemi potami zroszony;
Terazże mi nie trza już orać, ni siewać,
Teraz mi się wiecznego spocznienia nadziewać [3]).
Miałem ja tu frasunki, miałem ja ciężkości,
Nie było mi uciechy, nie było sytości.
Teraz idę do ziemi, do matuchny mojej.
Już się moja duszyczka niczego nie boi.

Wóz toczył się zwolna, a w miarę, jak się toczył, ustawało po drobnych spłachetkach ornej ziemi pokrzykiwanie na woły ciągnące pługi, mężczyźni odkrywali głowy, kobiety prostowały grzbiety zgięte nad rozbijaną motykami darnią i stały przez chwilę z ręką nastawioną u czoła od słońca bijącego teraz w same oczy.

Dziad zaczynał nową strofę:

...Straszyły mnie powodzie, straszyły mnie mory,
Zaglądały choroście do mojej komory.
Teraz będę cicho spać od zorzy do zorzy,
Teraz się już serce me niczem nie utrwoży.
Uganiałem ja grosza, uganiałem pola,
Teraz mnie już odeszła od dobytku wola.
Teraz mi już wszystko dość i zawiele nawet,
Świat nie stoi mi za grosz, ni za jeden lament.

Nie pamiętam, żebym kiedy oddychała poczuciem takiej szczerej, takiej zupełnej swobody wypowiedzenia głośno własnych moich uczuć, jak przy śpiewaniu pieśni tej, której słowa chwytałam, idąc za tą chłopską trumną; nie pamiętam, żebym kiedy z taką zupełną jasnością czuła wspólność nędzy życia we wszystkich jego stanach i na wszystkich szczeblach. Jakaś wielka prawda, a zarazem wielka rezygnacya wstępowała we mnie z dziwną prostotą i siłą. Było to oświetlenie życia z takiej jego strony, z jakiej aż dotąd cień na nie stale padał od własnej istoty mojej, niespokojnej, nieukojonej, czczych pożądań pełnej.

Szeroka, roztrącana pieśnią cisza ulatywała przed nami, jak ptak spłoszony. Cały ten krąg powietrzny, wiosennym błękitem nabrany, od surowej, zroszonej, świeżo pługiem odwróconej ziemi, aż po zenit słoneczny, wypełniony był głosem człowieka.

Była to antyteza Taboru, szczytów Synai i gorejącego krzaka Mojżesza. Przykazy i zakazy wydały już owoce swoje, albo zjałowiały. Przebrzmiał ich głos grobowy, regulujący sprężyny życia, często aż do ich złamania. Teraz była cisza. Teraz człowiek miał coś do powiedzenia Bogu i niebiosom. Nie mówił wiele. Nie skarżył się, nie jęczał,

[1]) Mieszkań osadników włościańskich w Żywcu, w Galicyi.
[2]) Wielkanocne, Pascha — święta wielkanocne u żydów.
[3]) Liturgia — przepisy obrzędów kościelnych.

[1]) Pielgrzymowałem.
[2]) Starania.
[3]) Spodziewać. (Przyp. autorki.)

nie błagał nawet o litość i miłosierdzie. Zmęczony był. Drogę swoją przeszedł, bój przebojował, chciał spocząć.

Życie wspominał bez żalu, bez goryczy, spokojnie, znać, że brzemię to poniósł pełnią sił swoich człowieczych, raz źle, raz dobrze, ale teraz z jakimś pośpiechem, z jakiemś utęsknieniem do ziemi wraca, i za to, że był, jednej tylko rzeczy żąda: nie być.

Tymczasem śpiew rósł, olbrzymiał, bo idący do miasteczka ludzie równali się z naszą gromadką i śpiewali razem. Szczególniej przejmującymi były głosy pacholęce chłopiąt i nieletnich dziewczątek. Wiele wyrazów w ich ustach wyglądało jak zrzeczenie się życia na samym jego progu. W ustach ludzi dojrzałych robiła pieśń ta wrażenie wielkiej, powszechnej spowiedzi.

...Nagrzeszyłem ja tu dość z cielesnej krewkości,
Dusza we mnie gorzała od wielkiej radości[1]).
Teraz idę w wieczny mir, do Pana Jezusa,
Teraz mnie już nie pojma nijaka pokusa.
Miałem ja tu rodzice, miałem, żonę, dziatki;
Teraz idę w ciemny grób, jak do ojca, matki.
Teraz vale[2]) dziateczkom i krewieństwu dawam,
Miłem sercem żegnam was, a sam się ostawam...

Wóz się trząsł na wybojach świeżo zasypanych gruzem, a z wozem trząsł się głos skurczonego na wozie dziada, trzęsła się głowa jego siwa, trzęsło się i to „vale", jakby ostatniem echem pożegnania drżące.

Co mnie dziwiło, to, że nie dosłyszałam w pogrzebowej gromadce ni jednego kobiecego szlochu.

— Nie miał to nieboszczyk rodziny? — spytałam zcicha idącej obok mnie kobiety.

— A hań matka! — odrzekła, wskazując głową na wóz, przy którym, półdrabków się trzymając chudą, zczerniałą ręką, szła sporym krokiem przygarbiona, okryta lnianą płachtą baba.

Natychmiast zaczęłam głos jej wyróżniać wśród innych. Cienki był, przenikliwy dźwięczący, dusznością jakąś, czy zmęczeniem rwany. Dotrzymywał jednak innym, a szczególnej żałości zgoła znać w nim nie było.

...Nie starajcie się światła, nie starajcie dzwonów,
Nie trzeba mi porady, nie trzeba pokłonów,
Bom ci proch a glina jest, do ziemi się wracam,
A w co byłem z naczątku[3]), znowu się obracam.

— A na wozie hań — widzą? To nieboszczyka przeddziad... Nie gwałtem już mocny w nogach, to go wiozą... — dorzuciła kobieta, korzystając z ciszy, jaka po każdej prześpiewanej strofie nastawała, a wśród której tylko tupot nóg po gościńcu i toczenie się wozu słychać było.

W tej chwili dziad podniósł głowę i silnym, raźnym odezwał się głosem:

Winszowana dobra śmierć i letkie skonanie,
Winszowany sichy grób, co mi się dostanie,
Terazże się powróćcie, kędy wasza droga,
A ja będę cicho spał, na łonie u Boga...

Prześpiewał, zgarbił się, skłonił głowę, i po ramionach zatonął w świerkowej zieleni. Idącej przy matce głos złamał się nieco w tej ostatniej strofie. Wytrwała jednak i, trzymając się półdrabka, szła żwawo obok trzęsącej się synowskiej trumny.

Śpiew ucichał zwolna.

Jak urzeczona szłam za jego echem.

Przykuwała mnie piękność prastarych form pieśni, przykuwała mnie mądrość jej i moc. Duch, który ją wysnuł z siebie, musiał być duchem prawdziwego filozofa; albo raczej prawdziwa filozofia życia sama sobie znalazła tu wyraz i wcielenie.

Nicość życia, nicość trudów i zabiegów jego, siewy, które nie wschodzą i nie zakwitają, kwiaty, które nie dają owoców, owoce, które trują tych, co je hodowali, znikomość wszystkich nadziei, oraz wszystkich zwątpień, wszystkich radości i wszystkich boleści, cały ten świat, który „nie stoi za grosz, ni za jeden lament", jakie to szczere, a jakie prawdziwe!

Grzech, wina, pozostawione na zewnątrz człowieka, grzech, w który wepchnięty jesteś, jak żołnierz w wir bojowiska, wina, po której idzie łaknienie „wiecznego miru", łaknienie wypocznienia od samego siebie, od własnej słabości, jaka w tem prawda, a jaka głębia smutku!...

Trumna dygotała na wozie coraz silniej; dziad oburącz chwycił się półdrabków; weszliśmy na kamienistą groblę.

Chłód powiał od mokrych łąk i stawów. Jakieś niewidzialne usta rozwiewały im włosy na czole, a szeroka cisza pełna była ich tajemniczego szeptu.

...Przygodne tu wszystko i jednochwilowe, a przecież konieczne i nieuniknione. Koniecznym jest ból, konieczną jest miłość, koniecznemi łzy i uśmiechy. Konieczną jest także tego wszystkiego nicość.

...Miałem tu rodzice, miałem żonę, dziatki. Tu... w krainie przemian, zwiędnień i przekwitów serca. Miałem. Było to może snem szczęścia, może snem cierpień; ale teraz zbudziła mnie ze snu tego śmierć. Teraz już zupełnie zimną pierś mam i nie czuję ani ran z ukochanej ręki, ani jej pieszczoty. Teraz mi dobrze, spokojnie! Nie drżę z rozkoszy, lecz nie drżę i z bólu. Cichy jestem. Jestem, czem byłem — nicością. Do grobu idę, idę do ziemi, rodzicielki prochu i człowieka. Do ziemi, która była matką matki mojej, i matką ojca mego, i do której pójdą syny moje i dzieci synów moich. Rozwiązały się pęta moje, i te, co łańcuchem mi były, i te, które były róż wieńcem. Wolno mi już nie kochać, nie czuć trwogi, gniewu, pogardy, zazdrości. Wolno mi nie być niewolnikiem miłości ani nienawiści; wolno mi nie dręczyć siebie i innych.

...Miłem sercem żegnam was... sercem uleczonem — z życia. Ognisko wzruszeń wygaszone, źródło porywów wyschłe, rozlatane jaskółki myśli moich powróciły do gniazda swego, do wystygłego mózgu mej czaszki.

...Opadły ramiona moje, wyciągnięte do uścisków bratnich, rozprostowały się dłonie, które zaciskałem około tego, co było tą, jak ja — nicością; stopy moje wypoczywają z dróg pilnych, o których nie wiedziałem, że do grobu wiodą.

...Bezbronny jestem, nie łaknący ani sądu, ani pomsty, ani sprawiedliwości. Pomiędzy niebem a ziemią rozwiany jestem, jako tchnienie wiatru i mniej jeszcze. Bo i wiatru tchnienie zakołysze stepem, gdy nań uderzy ze wschodu lub zachodu, ale dech życia mego nie poruszył ani jednej trawki, a większa jest nicość moja, niż ślad prochu, który po nim zostaje. Gdy słońce jutrzejsze szukać mnie będzie — nie znajdzie; a księżyc nie obaczy, iż byłem, a już nie jestem. Starta jest istność moja i wymieciona droga po mnie aż do źdźbła trumiennej słomy. Byłem, a jakbym nie był.

...Troskałem się „około wiela", aleć jednego tylko było mi potrzeba — grobu. Ten ci jest dom wieczny i podścielisko pokoleń, które przeminęły i które przyjść mają.

...Acz lepszem byłoby, iżby nie przychodziły, bo to, „co się żywot mieni, męka i wojna jest".

...Ale przyjdą i przeminą. O śmierci, ty jesteś życiem świata.

[1]) Żądzy. (Przyp. autorki.)
[2]) Bądź zdrów.
[3]) Z początku. (Przyp. autorki.)

...Ale i śmierć zaś rozwiązaną będzie, a gdy jej usta nie znajdą w prochu ani jednej skry do zdmuchnięcia — wtedy nastanie mir i wieczna cisza...

Nagle stuknęło coś. To koła wozu zaczepiły o cmentarne wrota.

Czerwony znak.

3) Z włoskiego tłumaczył A. P.

— I cóż pani wykombinowałaś z tego wszystkiego

— Spytałam ojca, jak to może być, aby się ci ludzie zgromadzali i obradowali wspólni nad dobrem kraju. Na to odrzekł mi ojciec: to jest możliwem i dzięki Bogu, że jest możliwem!

— Ale...

— Widzisz pani — przerwała Stella żywo — ojciec napisał mi, że jest bezsilny, że nie może uniknąć śmierci! Czemu był tak bezsilnym? Czy nie dla tego, że nie wiedział wcale, który z jego towarzyszy jest mu wrogo usposobionym? Oskarżono go fałszywie, ale nie wiedział, kto to uczynił. Podejrzywano go o zdradę, ale nie wiedział, kto na niego podejrzenie to rzucił. Czuł, że niebezpieczeństwo mu grozi i nie wiedział, czyja go ręka ugodzi.

— Ależ to okropne — zawołał Hamilton.

— Tak, okropne — rzekła Stella — straszne i srogie, a jednak wszystko założone i przeprowadzone z nadzwyczajną roztropnością! Gdybyś pan wiedział, jaką ostrożność mój ojciec zachowywał, gdy się udawał na tajne zebrania — nie do uwierzenia, doprawdy!

Hamilton słuchał, nie śmiejąc prawie oddychać — zdawało mu się, że wie już naprzód, co Stella mu powie.

—I jakie to były środki ostrożności? — zapytał nareszcie.

— Ojciec zostawał w domu w pewne dni wieczorem, czekając na tajne poselstwo. Gdy je otrzymywał, dawało się najpierw słyszeć uderzenie w okno naszego mieszkalnego pokoju. Mieszkaliśmy na parterze. Ojciec wychodził szybko z domu i czekał chwilkę — wtedy zbliżał się do niego w pędzie jakiś człowiek i powiedział mu umówione słowo. Człowiek ten nie zatrzymywał się w biegu ani na sekundę. Wiem o tem bardzo dobrze, bo czasem wychodziłam po cichu za ojcem aż do drzwi i podsłuchiwałam! Nie widziałam nikogo i nie mogłam nawet dosłyszeć owego słowa — ale wiem, że było tylko jedno i brzmiało jakoś dziwnie. Mój ojciec opuszczał natychmiast dom i czasem nie wracał prędzej, jak na drugi dzień rano.

Pomimo, że Hamilton odgadywał to, co mu Stella powie, to jednak słuchał z największem zajęciem o wszystkiem, co się działo w Paryżu i co zupełnie odpowiadało temu, co się działo w Londynie. Nie chciał jednak wyjawić swoich spostrzeżeń Stelli i dla tego rzekł spokojnie:

— Więc ojciec zostawał w pewne wieczory w domu, aby czekać na wezwanie tajemniczego posła?

— Tak, każdego piątku był gotów iść na zebranie.

— Ah, więc to było w piątki! I dawał wtedy z okna jakie znaki posłańcowi?

Stella zdziwiona spojrzała na Hamiltona.

— Tak — rzekła z pewnem wahaniem. — Teraz, gdy mnie pan o to pytasz, przypominam sobie, że w te wieczory usuwał zawsze deseczki żaluzyi i...

— I to tak, że przez ten wązki otwór padał promień światła z okna na ulicę! — dokończył Hamilton żywo.

Stella zerwała się przerażona.

— Zkąd pan wiesz o tem? — zawołała bez tchu niemal.

— Obdarzyłaś mnie pani swojem zaufaniem — odrzekł lekarz z uczuciem — i ja uczynię to samo. Odpowiedz mi pani tylko jeszcze na jedno pytanie — widziałaś kiedy lewe ramię twego ojca?

— Zdaje mi się, że tak — odrzekła — ale na pewno nie wiem!

— Więc nie zauważyłaś na niem znaku, którego nikt nie zapomni, widząc go raz...

— Nie!

— Znak ten znajdował się poniżej łokcia!

— Nie zauważyłam nigdy czegoś podobnego — mówiła Stella głosem, zdradzającym niezmierne wzruszenie.

— A jednak znak ten był tam — dowodził Hamilton stanowczo — bo widziałem go na własne oczy.

— Iak to wyglądało?

— Znak, wytatuowany szkarłatną farbą na ramieniu...

— I cóż dalej?

— Przedstawiał koło, w którem znajdowało się kilka dziwnych figur, mniej więcej tak...

Hamilton wydarł kartkę z notesu i narysował znak.

— Otóż to — rzekł — podając kartkę Stelli.

— Te... znaki... — szepnęło dziewcze przerażone.

Podług mego zdania znaczy górna linia: „od alphy do omegi", niżej zaś jest krzyż...

Hamilton spojrzał teraz na Stellę i zauważył wyraz śmiertelnego strachu na jej twarzy.

— Co pani jest? — zawołał troskliwie. — Rozumiesz znaczenie tych zagadkowych znaków?

— Nie! — jękła.

— Ale widziałaś je poprzednio?

— Tak!

— Nie jednak na ramieniu twego ojca?

— Nie!

— Więc gdzie?

— Przed kilku tygodniami — szeptała drżącym głosem — prosił mnie pewien młody człowiek o... o moją rękę...

Przy tych słowach okrył ciemny rumieniec jej twarz i szyję.

— Ah!

W tym wykrzykniku Hamiltona brzmiał niepokój i przestrach, lecz Stella nie zważała na nic.

— Na ramieniu tego człowieka były wytatuowane znaki, które mi pan tu narysowałeś — mówiła dalej, usiłując panować nad swojem wzruszeniem.

Hamilton poznał po raz pierwszy uczucie zazdrości! Ale przytłumił wnet gniew, jaki zawrzał w jego sercu i rzekł dosyć spokojnie:

— Pomiędzy historyą ojca pani, którą mi właśnie opowiedziałaś, a pomiędzy dziwną przygodą, jaka mnie niedawno spotkała, panuje nadzwyczajne podobieństwo.

Stella widocznie była zadowoloną, że rozmowa na inny, mniej osobisty zwróciła się temat. Odzyskała teraz znowu zwykłą swoją powagę i spojrzała śmielej w oczy doktora.

— I to pewno dzięki tej przygodzie — spytała — poznałeś pan sposób, w jaki ojciec żaluzyę rozsuwał, aby dać znak przechodzącemu ulicą posłańcowi, nieprawdaż?

— Tak!

— Boże! — zawołała nagle — czy i pan jesteś członkiem tego stowarzyszenia?

— Nie — odrzekł Hamilton z naciskiem — ja wiodę, dzięki Bogu, życie, które jest wobec świata jasnem i otwartem. Nie należę do żadnego tajnego związku, daję pani na to słowo honoru!

Twarz Stelli rozpromieniła się na chwilę.

Hamilton opowiedział jej teraz wszystkie zajścia owej nocy — jak najpierw uderzył ktoś kulką lub kawałkiem

drzewa w okno, jak wyszedł na ulicę i otrzymał owe zagadkowe poselstwo, i jak szedł godzinami za swoim sąsiadem w gęstej, szarej mgle.

— Jest to zupełnie jasnem, — dodał, — że ojciec pani należał w Paryżu do tajnego związku, którego obyczaje dziwnie się zgadzają z obyczajami związku istniejącego w Londynie.

— To jest ten sam związek, — zawołała Stella z głębokiem przekonaniem, — wszakże mówiłam panu, że ojciec mój podróżował po całej Europie. Związek, do którego należał, rozpościera wszędzie swoje sieci.

— Więc ojciec pani nie był dawniej w Londynie?

— O ile wiem, nie. Był w Berlinie, Wiedniu, Amsterdamie, w Budapeszcie, a nawet w Moskwie i Konstantynopolu. Władał kilkoma językami, mówił płynnie po niemiecku, po rosyjsku, po francusku, holendersku, ale po angielsku nie umiał wcale. Do Londynu dziwny jednak czuł pociąg, wyobrażał sobie, że to najpiękniejsze miasto w świecie i życzył sobie koniecznie, abym je poznała.

— Ach, więc po angielsku nie umiał! Dla tego też pewnie nie przysyłano go poprzednio tutaj.

— Może być! Ale może spiskowcy nie wszędzie posyłają nawet swoich najzaufańszych agentów, aby ich nie wtajemniczyć w wszystkie sekreta związku. I to właśnie w Londynie zamordowano go! W każdem innem mieście byłby miał przyjaciół i byłby się mógł bronić! Ale tutaj był bezsilnym, opuszczonym i wydanym na pastwę swoim nieprzyjaciołom i mordercom! Jestem pewną, że ojciec domyślał się tego, a jednak...

I znów łzy błysnęły w jej oczach.

Hamilton milczał przez chwilę.

— Tak, — rzekł w końcu, — to wszystko są pewnie środki ostrożności tajnego związku. Tu, jako obca w obcym kraju, była ofiara nie tylko bezbronnie w ich ręce wydaną, ale nadto mogli zbrodniarze być pewni, że morderstwo to, wykonane zręcznie, nie zostanie ukrytem. Policya angielska nie miała żadnych środków i sposobów, wynalezienia śladów zbrodniarzy. Wysyłając ojca pani do Londynu, odebrano mu wszelką możność bronienia się i urządzono wszystko tak, że szatańskie te machinacye nie miały być wcale odkrytemi.

— Teraz pan zrozumiesz, dla czego chcę pozostać w Anglii i nauczyć się po angielsku?

— Ale, jeżeli domysły pani mają podstawę, to zbrodniarzy należy szukać nie w Londynie, tylko na lądzie stałym!

— Tak, — odrzekła Stella stanowczo, — mordercą był człowiek, który widocznie ojca mego wcale nie znał. Najpierw więc trzeba odszukać rzeczywistego zabójcę, a potem dopiero tego, który wszystkiem kierował. Nie zapominaj pan, że ojciec mój stał się ofiarą podwójnej zdrady!

— Jakto?

— Przeczytaj pan jeszcze raz ostatni jego list, a znajdziesz w nim potwierdzenie moich domysłów. Oskarżono go fałszywie o zdradę, a oskarżycielem był łotr, który zdradził cały związek i szukał sposobu ukrycia swej zdrady, zwalając winę na kogoś innego.

— Ale pod jakim względem była zdrada w tym...

— Dokładnie tego nie wiem, — przerwała Stella żywo. — Wiem tylko tyle, że ojciec mój był przez pewien czas bardzo rozdrażniony i nieszczęśliwy, mianowicie, gdy policya wykryła w Paryżu warsztat, w którym fabrykowano bomby dynamitowe.

— Ah, przypominam sobie, — zawołał Hamilton. — Policya wykryła fabrykę bomb i przeszkodziła zamachowi na życie prezydenta. Więc pani myślisz, że ten plan został zdradzony?

— Tak, z wszelką pewnością, i podejrzenie tej zdrady zwrócono na mego ojca. Na podstawie zaś owego fałszywego oskarżenia kazał go komitet zamordować!

— Wykrycie fabryki bomb w Paryżu nastąpiło kilka dni po owej nocy, w której szedłem za moim zagadkowym sąsiadem. On potem wyjechał zaraz na dziesięć dni.

— Ah, tak, sąsiad pana! Opowiedz mi o nim, proszę, wszystko, co wiesz! Jak on się nazywa?

— Nazwiska nie znam, odźwierna zaś mianuje go panem Feliksem. Ale przy tej sposobności nasuwa mi się jeszcze coś innego na myśl. Kto był starającym się o rękę pani?

— Jakiś Henryk Poiton. Należał on do ściślejszego kółka naszych znajomych w Paryżu, pochodził z południowej Francyi i rzeczywiście trudno było odgadnąć, czy był Francuzem, czy Włochem. Był to artysta, rzeźbiarz, bardzo podobno uzdolniony. Posiadał dużo świetnych przymiotów, mianowicie umiał doskonale prowadzić rozmowę w salonie, ale coś odpychało mnie od niego. Grał na fortepianie, i śpiewał jak prawdziwy artysta, a ojciec mój powtarzał często, że lubi go bardzo. Pewnego dnia oświadczył mi swoją miłość — lecz powiedziałam mu szczerze i otwarcie, że uczuć jego nie podzielam. Pomimo nie przestawał mi zapewniać, jak gorąco mnie kocha i błagał namiętnie o moją wzajemność. W zapale podniósł lewą rękę, przysięgał wieczną miłość i wierność i to na to, co mu było najdroższem na świecie, na ów tatuowany znak!

— Nie może być! — zawołał Hamilton.

— Przy tej sposobności ujrzałam ten zagadkowy napis, który pan poprzednio narysowałeś, — „od alphy aż do omegi“, z krzyżem na dole. Widziałam to tylko na chwilę, lecz nie zapomnę nigdy tego dziwnego znaku.

— Widziałaś pani to samo na ramieniu ojca?

— Nigdy! Przypominam sobie, że ojciec miał zawsze lewe ramię owiązane białemi taśmami, zapiętemi mocno poniżej łokcia!

— Więc Henryk Poiton nie wiedział nic o znaku na ramieniu ojca pani?

— Myślę, że nie. Ale pamiętam raz — spotkało ojca nieszczęście na ulicy w Paryżu. Upadł i wytrącił obojczyk, wskutek czego zaniesiono go do szpitala. Poiton był wtenczas z nim razem, pomógł zanieść do zakładu chorych i później przyprowadził go do domu.

— Nareszcie rozjaśniają się trochę ciemności, — zawołał Hamilton z tryumfem. Ojciec pani i Poiton należeli do tego samego tajnego związku, którego środki ostrożności polegały i na tem, że członkowie nie znali się nawzajem ani osobiście, ani z nazwiska, ani z zawodu. W szpitalu ujrzał Poiton znak na ramieniu ojca pani i tym sposobem poznał, że Alfred Garcia jest członkiem tego tajnego związku, do którego on sam należał!

— Oh, nędznik! — szepnęła Stella z złowrogim blaskiem w oczach. — Oh ten podły nędznik! Teraz domyślam się wszystkiego!

— I cóż dalej? — zapytał Hamilton ciekawie.

— Opowiedziałam ojcu, że Poiton prześladuje mnie swoją miłością i że przysiągł, że nie spocznie prędzej, aż nie zostanę jego żoną. Chciałam uniknąć tych nieprzyjemności i prosiłam ojca, aby mu zakazał bywać u nas!

— A ojciec pani? Co uczynił?

— Zgodził się na moje żądanie i stąd wynikła gwałtowna sprzeczka pamiędzy nim, a tym łotrem. W uniesieniu wyrzekł Poiton jakieś słowo o mnie, za co ojciec uderzył go w twarz!

— Teraz rozumiem wszystko, — zawołał Hamilton stanowczo. — Poiton był tym, który zdradził związek i który ojca pani fałszywie oskarżył. Inaczej być nie może!

— Chciał się pomścić!

— Może być, ale może miał też jeszcze inne powody...

— Jakie?

— Po śmierci ojca, jedynego żyjącego krewnego, jak mi powiadałaś, stałaś pani na świecie sama, opuszczona i bez opieki!

— Bez opieki? Jak pan to rozumiesz?

— Bądź pani przekonaną, że ten człowiek nie zniknął jeszcze z życia twego, wszakże mówiłaś pani, że przysiągł pojąć cię za żonę. On powtórzy swoje starania o twoją rękę.

— Nie, to niemożliwe — byłoby to okropnem! Zdrajca, który jest właściwym mordercą mego ojca!

— Ja myślę, że miłość jego dla pani i chęć zdobycia ciebie jest powodem tego szatańskiego planu!

Stella milczała. Strach i przerażenie ubezwładniły ją zupełnie.

— Zdrada towarzyszy i wspólników spisku jest jeszcze najmniejszą częścią jego winy, — mówił Hamilton dalej, — bo odkryto fabrykę bomb, ale nie schwytano ani jednego z tych, którzy je fabrykowali. Tak przynajmniej donosiły gazety. Głównym jego zamiarem było oskarżenie ojca pani i usunięcie go sobie z drogi. I na to potrzeba było śmierci niewinnego!

— Boże! — jękla Stella, — jak się to ma skończyć?

— Wszelkie jego usiłowania zwrócą się ku temu, aby panią zdobyć, — odrzekł Hamilton z dziwną, okrutną niemal otwartością.

— Boże! Boże! — szeptała nieszczęśliwa dziewczyna, przyciskając złożone ręce do czoła. — To ja stałam się przyczyną śmierci mego ukochanego ojca!

— Nie, nie mów pani tego, — zawołał lekarz, — nie powinnaś być tak niesprawiedliwą względem siebie. Jest to tylko okropne powikłanie przypadków......

— Którego podstawą stała się miłość tego człowieka dla mnie, — szepnęła z wyrazem wstrętu.

Nie płakała teraz już — oczy jej były suche, lecz błyszczały taką nienawiścią i pragnieniem zemsty, że Hamilton zadrżał mimowoli.

— Pani wcale za to odpowiedzialną nie jesteś, — rzekł łagodnie, starając się uspokoić ją, i ujął jej rękę. Stella nie usunęła ręki, lecz zdawała się być nieprzytomną.

— Jak Bóg jest w niebie, — zawołała nagle gwałtownie, — tak przysięgam uroczyście, że on umrzeć musi. On musi umrzeć, — powtórzyła, — i to z mojej ręki.

Młoda dziewczyna wyglądała w tej chwili, jak bogini zemsty.

— Niech Bóg broni, — odpowiedział Hamilton cicho.

Zwolna odzyskała Stella zwykły swój spokój i cofnęła się nieco.

— Proszę pana, — szepnęła, — odejdź teraz! Chciałabym zostać samą!

— A jutro?

— Jutro uradzimy wszystko, co pan uznasz za potrzebne.

Hamilton pożegnał ją i odszedł, zostawiając dozorczyni lekki usypiający środek dla Stelli.

— Ona musi spać jak najwięcej, — pomyślał, — inaczej oszaleje!

Rozmowa z Stellą rozdrażniła go tak, że za nic w świecie nie byłby teraz wrócił do domu. Samotność przerażała go po prostu — postanowił więc przejść się jeszcze i odetchnąć trochę świeżem powietrzem. Nie zważając na ulice, jakiemi szedł, biegł coraz dalej, bez planu, mijając place, kościoły i ogrody. Lecz nagle stanął i podniósł głowę.....

Głośne śmiechy i bełkotanie pijanych ludzi, dochodzące go z jakiejś bardzo podrzędnej piwiarni, zwróciło jego uwagę, a woń piwa i wódki roztaczała się aż na drugą stronę ulicy. Przez chwilę stał niepewny — nie dowierzając własnym oczom i uszom, potem jednak zbliżył się więcej jeszcze ku drzwiom restauracyi i cichy okrzyk radości dobył się z jego ust. Tak — on tu był już raz — owej nocy — nie ulegało to najmniejszej wątpliwości! Tam było wejście do ciemnego podwórza, w którem znikł tak tajemniczo pan Feliks!

ROZDZIAŁ VIII.

W pierwszej chwili, ucieszony niezmiernie niespodziewanem swem odkryciem, postanowił Hamilton zbadać dokładniej podwórze. Ale potem powiedział sobie, że taki pospiech byłby tu nie na miejscu i odsłoniłby zawcześnie jego zamiary. Nie powinien uczynić nic, coby mogło wzbudzić jakie podejrzenie, bo najmniejsza nieostrożność popsułaby wszystko. Zadowolił się więc na razie tylko tem, że zapisał sobie ulicę i numer piwiarni i zadowolony wrócił do domu.

Tej nocy długo nie mógł usnąć. Wypadki ostatnich czasów, najrozmaitsze plany i zamiary — wszystko to zajmowało go tak, że o niczem innem już myśleć nie mógł, a chociaż z opowiadania Stelli dużo się już dowiedział i dużo sobie szczegółów dokombinować potrafił, to w końcu musiał sobie jednak przyznać, że cała ta sprawa była obecnie równie ciemną, jak z początku.

Bardzo było możliwem, że handlarz starożytności, Lucyan Cevanci, znał bliższe szczegóły morderstwa, chociaż sam w niem nie brał udziału. Jeżeli jednak można było przypuszczać, że Cevanci nie był winnym tej zbrodni, tylko że i on sam był ofiarą dziwnego przypadku, to Garcię nie zaproszono do niego umyślnie na to, aby go tam zamordować, tylko spiskowcy ścigali go poprostu aż do domu znajomego i przyjaciela, który mu ofiarował gościnność, i tam go zabili. Ale kto mógł zaręczyć, że Cevanci również należał do jakiego tajnego stowarzyszenia i że rozkaz z góry nie pozwolił mu wezwać na czas policyi? Albo wskazać urzędnikom później właściwego śladu mordercy?

Że sąsiad, pan Feliks, był człowiekiem tego samego związku, do którego należał Garcia, o tem nie wątpił doktor ani na chwilę. Już sam sposób wzywania na zebrania pana Feliksa w Londynie jak i Garcji w Paryżu dowodził jasno, że obydwaj byli członkami jednego i tego samego stowarzyszenia.

Domysły te stawiały teraz Hamiltonowi nowe pytanie, a mianowicie, czy ramię zagadkowego pana Feliksa było tak samo tatuowane, jak ramię zamordowanego i jego zdrajcy? Czy znajdowały się tam również owe litery i krzyż, otoczone szkarłatnem kołem, tworzącem widocznie pieczęć tajemnego braterstwa?

Hamilton myślał nieustannie nad tem, w jaki sposób znaleść odpowiedź na to pytanie, lecz daremnie łamał sobie głowę. Udał się więc na spoczynek, a gdy się nazajutrz obudził, czuł się tak zmęczonym, jak gdyby nie spał przynajmniej dwóch lub trzech nocy.

Korespondencya jego nie była bardzo rozległą i rzadko kiedy zjawiał się listonosz w jego mieszkaniu, lecz tego dnia właśnie leżał na stole w jadalnym pokoju list, i to adresowany widocznie ręką kobiety.

— Od baronowej, — pomyślał, otwierając kopertę.

I rzeczywiście, baronowa pisała do niego kilka słów:

„Łaskawy Panie Doktorze! Będę dziś w zakładzie chorych i chciałabym najchętniej zabrać zaraz z sobą pannę Garcię. Przypuszczam, że Pan załatwiłeś wszystko, i że życzeniu memu nic na przeszkodzie nie stoi. Proszę — czekaj Pan na mnie o trzeciej w pokoju Przełożonej.

Z uprzejmem pozdrowieniem

Anna Ravendale.“

— A niech ją licho......! — wykrzyknął Hamilton.

Przypomniało mu się teraz, że wczoraj z Stellą wcale o tem nie rozmawiał — to, co ich obojga tak zajmowało, było ważniejszem, niż przyjęcie miejsca Stelli u baronowej. Ale ostatecznie życzeniu tej szlachetnej kobiety trzeba było także zadość uczynić i dla tego nie pozostawało mu nic innego, jak iść zaraz po drugiej do zakładu i przygotować Stellę na przybycie baronowej. Dla siebie miał zawsze jeszcze całe przedpołudnie wolne i czas ten chciał zużyć na zwiedzenie nowoodkrytego podwórza. Może we dnie nie wywierało miejsce to tak wstrętnego i tajemniczego wrażenia, jak w nocy.

Zabrał się więc zaraz i wyszedł, i po mniej więcej dwudziestu minutach stanął na miejscu, na ulicy w części miasta, zwanej Soho. Gdy się zbliżał do podwórza, zauważył, że z jednej strony dotykało wysokiego muru, w którym żadnego nie było okna, z drugiej zaś strony znajdował się jakiś sklepik i warsztat, zupełnie taki, jak je zwykle włoscy handlarze figur miewają. Dwa przednie okna zastawione były wazonami, i gipsowemi figurkami, po nad tem zaś królowały biusty sławnych ludzi z alabastru, mającego zupełnie pozór marmuru. Wszystkie te, na deskach stojące przedmioty, zasłaniały widok do wnętrza sklepiku. Równocześnie spostrzegł Hamilton, że trzy na podwórko wychodzące okna, były na wewnątrz bronzową pomalowane farbą, że więc i przez nie zajrzeć do pokoju nie było można. Szklane drzwi sklepu były tak samo umalowane i nadto wisiały nad niemi i nad oknami ciężkie żelazne żaluzye, które zapewne zawsze na noc spuszczano. Wszystko to zaciemniało niezmiernie całe podwórko. Na drzwiach z ulicy znajdowała się mała tabliczka z napisem:

„B. Macropolo“.

— Znowu jakiś cudzoziemiec, — pomyślał Hamilton, — tym razem Grek. Zdaje się, że interes jego nie świetnie się tu rozwija! Kto zajrzy w taki kąt! A on też pewnie nie wiele sobie zadaje pracy z zwabianiem kupujących!

Na podwórku wielki panował nieporządek. Hamilton stał przy wejściu i patrzał uważnie na wszystkie strony i po chwili odkrył jakieś drzwi, leżące zupełnie naprzeciw wejścia. Drzwi te zasłonięte były ciężkiemi belkami, opartemi o mur, lecz bystre jego oczy dostrzegły je zaraz. Z tem wszystkiem nie chciał zwracać uwagi na siebie i nie wzbudzać w kimkolwiekbądź podejrzenia, że przyszedł tu na zwiady, cofnął się więc znowu ku ulicy, przekonawszy się dokładnie, że innego wejścia na podwórko nie ma.

Ale teraz obejrzał sobie nieco bliżej wystawne okna sklepiku i w jednej chwili powstał w głowie jego nowy plan.

Nacisnął śmiało klamkę, otworzył drzwi i wszedł do sklepu a przeraźliwy ton dzwonka oznajmił właścicielowi wejście gościa do składu, w którym, jak się zdawało, nikogo obecnie nie było.

Nie znajdowało się tu nic wskazującego, że to sklep kupca — nie było tu ani stołu, ani krzesła — tylko przy jednem z zaciemnionych, na podwórko wychodzących okien, stało małe, wązkie biurko. Pokój ten był nadto przedzielony na dwie części długą, od sufitu aż do podłogi sięgającą, ciemno bronzową firanką.

Na odgłos dzwonka wyszła z za firanki kobieta — blada, lecz dosyć jeszcze młoda i ładna. Zręczną jej postać obejmowała czarna, skromna suknia, a jedyną ozdobą była piękna, w ciężkie złoto oprawna broszka, tak zwana gemma, na której ciemnem tle znakomicie się uwydatniała biała, artystycznie wycięta głowa jakiegoś bożka.

— Chciałbym sobie obejrzeć kilka figur, — zaczął Hamilton uprzejmie.

— Nie mówić po angielsku, — odrzekła kobieta, trzymając ciągle jeszcze portyerę. Obojętna jej twarz nie zdradzała najmniejszej chęci sprzedania czegoś gościowi.

Hamilton zawahał się — lecz po krótkim namyśle postanowił nie wyjawiać swej znajomości języka włoskiego.

— Jest tu kto umiejący po angielsku? — odezwał się znowu.

Ale kobieta stała milcząc — albo nie rozumiała rzeczywiście, co mówił do niej, albo nie chciała go rozumieć.

— Gdzie jest pan Macropulo? — zapytał Hamilton.

— Pan Macropulo nie w domu, — odpowiedziała na znak, że zrozumiała jego pytanie.

— Kiedy wróci? Możesz pani posłać po niego, albo mam czekać?

Ale na te pytania nie otrzymał już odpowiedzi i wyraz jej oczu był dowodem, że go nie rozumiała.

Położenie Hamiltona zaczynało być trochę nieprzyjemnem. Namyślał się, czy nie odważyć się na kilka słów francuskich lub włoskich, lecz rozum mówił mu, że byłoby to nieostrożnie i nie wiedząc, jak postąpić, zwrócił się ku drzwiom. Lecz w tejże chwili dał się znowu słyszeć ostry głos dzwonka i jakiś mężczyzna wbiegł szybko do składu.

— Pan Macropulo, — szepnęła kobieta.

W następnej chwili znikła za portyerą, a Hamilton został sam z fabrykantem alabastrowych figur.

ROZDZIAŁ IX.

Powierzchowność tego człowieka stała w najjaskrawszej sprzeczności z tem, co Hamilton sobie pod „tajnym spiskowcem“ wyobrażał. Podług jego zdania powinien być taki człowiek niedbale ubrany, mieć czarne dzikie oczy i być niespokojnym i nerwowym.

Tymczasem pan Macropulo był ubrany bardzo starannie i wywierał wrażenie zamożnego i przyzwoitego obywatela. Niezbyt wysoki, zdawał się jednak posiadać siłę niepospolitą, czego dowodziły szerokie plecy i duże, żylaste ręce, a wysokie czoło i nieco wysunięta broda zdradzały wielką inteligencyą. Czarny wąs ocieniał ładne, zawsze uprzejmie uśmiechnięte usta.

— Życzysz pan sobie kupić jaką figurę? — zapytał grzecznie po angielsku.

— Jeżeli pan masz coś rzeczywiście ładnego, kupiłbym chętnie, — odrzekł Hamilton równie uprzejmie.

Macropulo spojrzał badawczo na niego.

— Widziałeś pan może w oknie wystawnem coś, co się panu podobało? — zapytał znowu, wskazując na zastawione deski i niespuszczając ani na chwilę oczu z Hamiltona.

— Nie, — brzmiała spokojna odpowiedź lekarza, — ale po tem, co widziałem w oknach, myślałem, że znajdę tu jaki przedmiot, który by mi się podobał. Chodzi mi o to, aby pewnej znajomej damie kupić ładny, lecz nie za drogi prezent. Ale naturalnie coś lepszego, niż te figury, — dodał pogardliwie. Nie masz pan co innego jeszcze?

Macropulo zdawał się teraz już zupełnie uspokojonym i ożywiał się coraz to więcej.

— Tam w tej galeryi, — rzekł, — większy jest wybór. Bądź pan łaskaw iść ze mną.

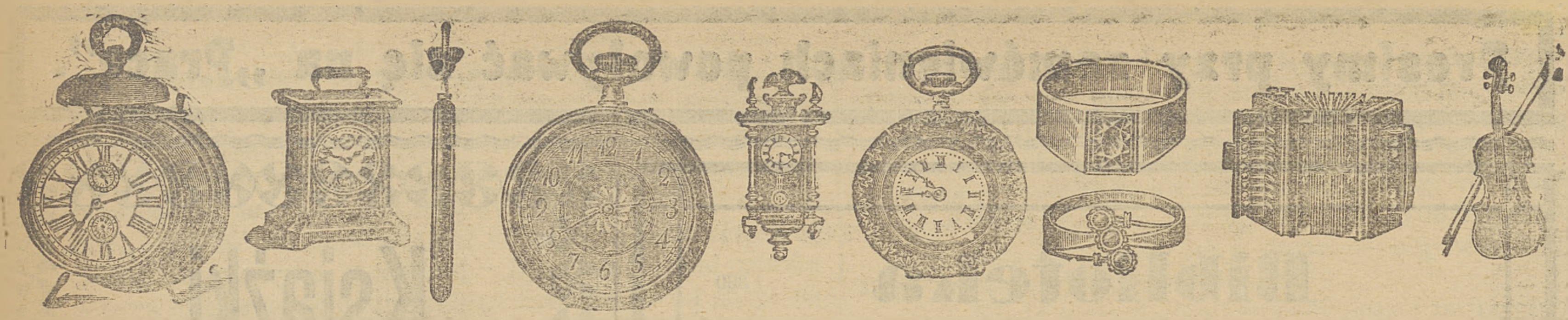
Mówiąc to, uniósł lekko portyerę i Hamilton, który trochę przykrego doznał uczucia, bo musiał teraz kupić coś, czego właściwie wcale kupić nie chciał, poszedł za nim. Ale bądź co bądź, był to zawsze krok naprzód.

Po obydwóch stronach długiego, bardzo niedostatecznie oświetlonego pokoju, którego drugą połowę zakrywała taka sama ciemna portyera, stało dużo rozmaitych figur i posążków. Większe stały na słupach porfirowych, grubych i ciężkich, były to kopie sławnych arcydzieł z muzeów wielkich miast, mianowicie Florencyi, Neapolu i Rzymu. Hamilton patrzał z niezmiernem zajęciem na piękne te dzieła, jego zmysł artystyczny odezwał się natychmiast, a najwięcej podobała mu się prześliczna kopia sławnej grupy „Amor i Psyche“, z pałacu Titti w Florencyi.

(Ciąg dalszy nastąpi).







Zegarki z 5-letnią piśmienną gwarancyą Ia. pierwszy gatunek.

NIKLOWE męzkie kluczykowe . mk. 5,40
POSREBRZANE z 2 złoconymi brzegami . . . . . „ 5,90
NIKLOWE kluczyk. 6 kamieni Ia. „ 6,00
NOWOSREBRNE kluczyk. 2 złoc. brzegi 6 kamieni prima . . „ 7,75
CZYSTO SREBRNE 2 złoc. brzegi kluczyk. lub remontoarowe masyw mocne, najlepsze werki o 6 kamieniach znane z dobrego chodzenia . . . . . mk. 10,00
Te same o 10 kamieniach . „ 12,00
CZYSTO SREBRNE kluczykowe lub remontoarowe masyw mocne, najlepsze werki, 10 kamieni, złocone wskazówki i brzegi, znane z dobrego chodzenia
z wizerunkiem **MATKI BOSKIEJ** mk. 12,00
znacznie lepsze z Matką Boską . „ 14,00
a najlepsze z Matką Boską . . „ 16,00
CZYSTO SREBRNE damskie 6 kamieni . . . . . . „ 8,50
dto. 10 kamieni prima . . „ 12,00
CZYSTO ZŁOTE 7 karat damskie 10 kam prima . . „ 16,00
dto. 10 kamieni Ia. prima . „ 18,00
dto. wspaniałe 10 kam. Ia. Ia. „ 22,00
Do zegarków z gwarancyą kapsułka lub etui darmo.

Sprzedaję taniej jak niejedna fabryka.

Jedyne największe, najtańsze i najrzetelniejsze źródło zakupna

a szczególniej dla sprzedających z drugiej ręki.

CENY HURTOWNO FABRYCZNE.

Wszelkie moje zegarki z oznaczeniem **5-LETNIEJ GWARANCYI,** są starannie obciągnięte i na minutę uregulowane.

OBAWY NIE MA ŻADNEJ, bo to, co by się podobać nie miało, lub istotnie nieodpowiedniem w tej cenie było, **PRZYJMUJĘ Z POWROTEM I WRACAM PIENIĄDZE.**

Trzeba się koniecznie przekonać, a kto nie kupi, toć trudno, sam sobie szkodzi. Zamówienia i podziękowania codziennie nadchodzą.

Proszę napisz pan **PO CENNIK** circa 2000 ilustracyi, a chętnie każdemu **DARMO I FRANKO** wysełam. 200

M. Danecki

Miejska Górka

(Görchen Bezirk Posen.)

Zegarki bez gwarancyi II-gi gatunek.

NIKLOWE męzkie rem., 12 godz. chodzące . . . . . mk. 2,45
dto. 30 godzin chodzące . „ 2,95
dto. lepsze 30 godz. chodzące. „ 3,50
STALOWE czarne lepsze remont. 30 godzin chodzące . . „ 4,25
CZYSTO SREBRNE remont. tylko lepsze 6 kamieni . . „ 6,75
dto. kluczyk. I tylko lepsze 6 kamieni . . . . . „ 6,85
dto. damskie tylko lepsze 6 kam. „ 6,95
dto. Ia. tylko lepsze 10 kam. . „ 8,50
ZŁOTE damskie 7 karat. Ia. tylko lepsze 10 kamieni . . . „ 13,75
BUDZIKI głośno dzwoniące . „ 1,85
BUDZIKI z większym dzwonkiem „ 2,65
BUDZIKI z muzyką . . . „ 6,40
HARMONIKI 2 klucze 48 głosów „ 3,00
HARMONIKI 3 klucze 70 głosów „ 5,00
HARMONIKI 4 klucze 90 głosów „ 6,00
SKRZYPCE z smyczkiem dla dorosłych . . . . . . „ 5,00
dto. lepsze dla dorosłych. . „ 7,00
dto. z silnym głosem . . „ 9,50
BRZYTWY jedynie dobre pod gwarancyą za każdą sztukę Nr. 50 51 53 54 56 60
mk. 1,20 1,40 1,75 2,10 2,76 3,75
już gotowe do użycia.

Biuro melioracyjne

Trawiński & Kucharski

Telefon 839. **Poznań,** Telefon 839

ul. Rycerska 26 (vis-à-vis zakładu wodoleczniczego Dr. Panieńskiego)

wykonuje **drenowania,** 129 **nawodnienie łąk systemem francuzkim** oraz innemi, odwodnienie łąk (murszów, torfów) **metodą prof. Fleischera** i sporządza projekta jeneralne i specyalne dla **spółek drenarskich i majoratów** pod kierownictwem **dyplom. inżynierów kultury rolnej.**

Filie: **Warszawa,** Zielna nr. 21. **Sieradz,** Kaliska 7, zastępca inżynier pan Madaliński.

Stanisław Augustyniak

Kościan,

ul, małej kolejki kościańsko-gostyńskiej 5.
Telefon Nr. 119. 56

Handel drzewa budulcowego,

belek i kantówek, blochów, desek, łatów i t. d.

Deski w różnych grubościach 1/2, 3/4, 4/4, 5/4, 6/4, 2, 2 1/2, 3 calowe.

Skład dzwon bukowych,

dzwona gięte do powozów, jesionowe, śpic dębowych oraz bukowych blochów.

PAPY NA DACHY

w doborowym gatunku, po cenach bardzo
Hurtownie. nizkich. **Detalicznie.**

ZAKŁAD dentystyczny.

Wprawiam i plombuję zęby

podług najnowszej metody. Operacye zębów bez bólu po przystępnych cenach.

Wykonanie dokładne i artystyczne. 148

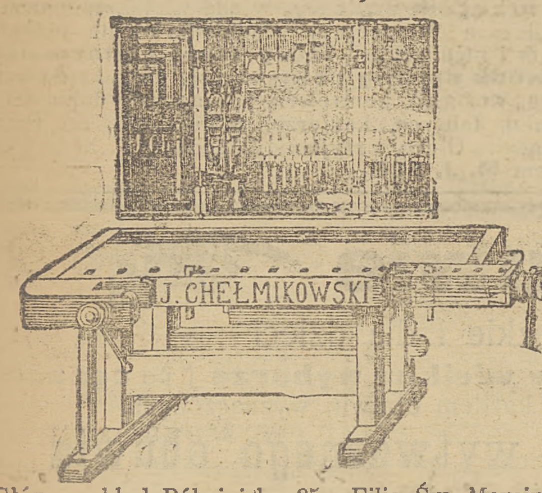
Przyjmuję od godz. 9 rano do 6 po południu.

Jadwiga Marszałek,

Poznań, św. Mercin 56

I. piętro.

J. Chełmikowski, Poznań.



Główny skład Półwiejska 35. Filia Św. Marcin 45.
Specyalny skład narzędzi dla stolarzy, cieśli, garncarzy, sztukatorów.
Cennik darmo. 102
Adres: **J. Chełmikowski, Poznań (Posen).**

Dom Wysyłkowy

cygar i papierosów oraz instrumentów muzycznych.

Polecam cygara tylko najlepsze za 100 sztuk **3 mk.** począwszy i wyżej. Papierosy najlepszych a znanych, oraz mojej własnej fabrykacyi za 100 sztuk od **60 fen.** począwszy i wyżej.

Wszelkie instrumenta jak:

flety, klarnety, skrzypce, basy, mandoliny, gitary, harmoniki we wielkim wyborze, katarynki i samograjki, cytry akordowe od 9 mk. począwszy.

Polecam i wysyłam na zamówienia prosząc gorąco o pamięć. 120

ŁUCYAN PIOTROWSKI,

Gniezno ul. Wilhelmowska 2.

Nowe szkockie śledzie Matjasy

śledzie opiekane, sardynki w oliwie, najlepszy olej do jedzenia, margarynę

we wszelkich gatunkach, czystą amer., mieszaną, salonową **naftę** z dostawą na bieżące i późniejsze term.

Smołę i papę na dachy oraz carbolineum

poleca po tanich cenach hurtownych 133

Maciejewski & Co.

Szczeciński hurt. handel śledzi i nafty.

Poznań (Posen) W. Garbary 23.
Telefon 872. 133
Adr. do list. Maciejewski & Co., Posen.
Adr. do tel.: Heringsgrossist, Posen.

Adres telegramów: L. ZBORALSKI PLESCHEN.

Połączenie telefoniczne Nr. 25.

L. Zboralski

Pleszew — (Pleschen.)

Hurtowny handel win założony w roku 1853

poleca znane ze swej dobroci, renomowane

wina górnowęgierskie

z lat najlepszych, w różnych odcieniach, począwszy od **Mk. 1,40** za litr w beczce aż do gatunków najszlachetniejszych.

Dla chorych i rekonwalescentów

stare wina węgierskie

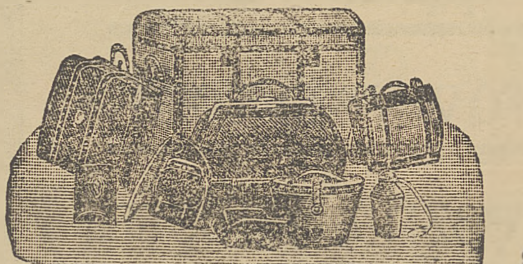
w olbrzymim wyborze.

Cenniki oraz próbki win beczkowych na życzenie gratis i franko. 203

Podróżujących nie wysełam, łaskawe zlecenia upraszam wprost listownie.

Adres listów: L. Zboralski, Pleszew-Pleschen.

Fabryka kufrów i torb



93

poleca swe wyroby premiowane w Poznaniu i Lwowie.

Kufry ręczne	**N. Wolniewicz,**	Torby szkólne
Kufry fałdowe	siodlarz kiesieniarz	Torby do podróży
Kufry mezkie		Torby fałdowe
Kufry damskie	**Bazar,**	Torby do pieniędzy
Kufry trzcinowe	**ulica Nowa 8.**	Torby do listów
Kufry do prób		Torby myśliwskie

szelki, portmonetki, necessery, siodła, trenzle, czapraki, koniki, piłki i poduszki skórzane.



Mydło liliowe

w kawałkach po 50 fen.

Woda liliowa

Eau de Lys de beauté

w butelkach po 1,50 mk.

wytwarzają piękną, delikatną cerę twarzy i rąk, piękny zawsze młodzieńczy wygląd, olśniewająco piękną płeć, usuwają wszelkie nieczystości skóry, jak piegi, węgry, wyrzuty, czerwoność. 252

W Poznaniu do nabycia w drogeryach pp. R. Barcikowskiego, J. C[illegible]pczyńskiego, Z. Ritters. W Jeżycach p. K. Buchowskiego, w Jarocinie p. W. Chylewskiego lub wprost w chemiczno-kosmetycznym laboratoryum K. Buchowskiego w Poznaniu.

Adres do zamówień:

K. Buchowski,

Chemisch-kosmetisches Laboratorium. Posen 72.

Patenty

na **wynalazki** wyjednywa

Kazimierz Ossowski

Biuro patentowe:

PETERSBURG, Wozniesenskij prosp. 3.

BERLIN, Potsdamerstrasse 3. 26

Mój

Zakład dentystyczny

znajduje się teraz 157

przy ul. Nowej nr. 7 I (Nowy dom bazarowy.)

J. GRYSZCZYNSKI.

Poznań, Rycerska ul. 15.

Zakład leczniczy dla chorych

na nerwy i na cierpienia przewodu pokarmowego (przełyku, żołądka, kiszek, wątroby) **włącznie chorób przetwarzania się materyi** (otyłości, choroby cukrowej, podagry, bladaczki, etc.) w połączeniu **z zakładem wodoleczniczym. Kuracye dyetyczne. Kąpiele elektryczne z prądem zmiennym i faradycznym. — Masaż wibracyjny elektr. i ręczny.** 18

Kąpiele elektryczne świetlne.

Kąpiele wszelk. rodzaju. Gimnastyka szwedzka

Dr. Zakrzewski. Dr. Panieński



Jedyna jeneralna agentura

i główny skład

S. Zychliński w Poznaniu.

Cygara w największym wyborze.

Biuro prawnicze Jasielskiego

w Poznaniu

ul. Wodna l. 4, I p.

spisuje **kontrakty** (mianowicie z wymiarami), skargi, podania do wszelkich władz,

obrony

w sprawach karnych, informacye w sprawach proces., **reklamacye** co do podatków i wojskowości, testamenta, regul. hipot. i spadki i zaciąga pożyczki landszaftowe i bankowe. 73

Pracownia robót kościelnych

WANDY GOECZYK

w Gnieźnie 122

ulica Tumska nr. 10.

poleca się łaskawym względom Przewielebnego Duchowieństwa oraz Szanownej Publiczności. Wykonuje wszelkie prace jako to, kapy, ornaty, stuły, bursy, birety, wszelką bieliznę kościelną, chorągwie kościelne i dla towarzystw. Wszystko po bardzo przystępnej cenie, wykonanie artystyczne.

Ważne!!

Kto chce założyć skład kolonialny, cygar i papierosów niech się ze zaufaniem uda do firmy hurtownej

Artur Gustowski 291

Opalenica.

Dom ten może udowodnić, że setki ma odbiorców po Księstwie i że konkuruje z najpierwszemi firmami tej branży. Na życzenie przyjeżdża zastępca firmy.

Dla cierpiących na **żołądek, kiszki i t. p.**

Kakao owsiankowe

z solami odżywczemi.

Jest to znakomity napój tak dla dzieci jak dla dorosłych.

Przez lekarzy polecony zwłaszcza dla ozdrowieńców niedokrwistych, cierpiących na żołądek, dla nerwowych, dla karmiących matek itd,

Odżywka zapobiegająca krzywicy (angielskiej chorobie) blednicy i cierpieniom skrofulicznym. Pożywniejsze, zdrowsze a tańsze od kawy lub chińskiej herbaty!

Ceny: Gatunek I „HYGIEIA" funt 1.75 mk., pół funta 90 fen. Gatunek II „SAMSON" funt 1,00 mk. pół funt. 55 fen. Próbki (ok. 200 gr.) za nadesłaniem 50 fen. wysyła franko: Firma „HYGIEIA" (Czarnowski & Co.) Berlin N., Weissenburgerstr. 27. 389

Tow. akcyjne

H. Cegielski

fabryka machin

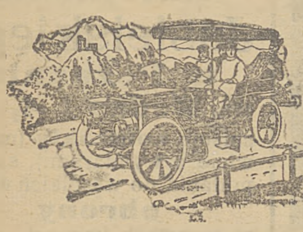
w Poznaniu

poszukuje na stałe zatrudnienie

zdolnych

formiarzy

do lejrani. 534



AUTOMOBILE

Koehler & Co.

Największe warsztaty reparacyjne

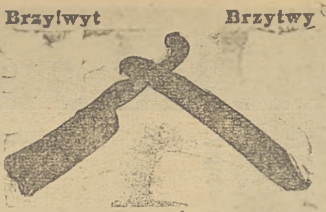
z napędem elektrycznym.

Przystanek szklanny dla samochodów, stacya benzyny, oliwy, pneumatyków.

Poznań, ul. Wiktoryi 17. Telefon 1993.

Gen. repr. firmy

Rex Simplex, Ronnenburg S.-A.



Brzytwy

jedynie najlepsze z angielskiej dyamentowej stali; znane z dobroci i pod gwarancyą już obciągane i gotowe do użycia. — Wymienię każdą sztukę, jeśli nie będzie dobrą. Piękny mocny futeryał darmo.

Nr.	50	51	53	54	56	60
mk.	1,20	1,40	1,75	2,10	2,75	3,75
a następne nr.	0	1	2	3	4	

bez gwarancyi po 55, 60, 70, 80 i 90 f.

Pędzelek 40 fen., nikl. **miseczka** 40 fen., **mydło** 10 fen.

Paski do ostrzenia po 0,80, 1,00 1,50 i 2,00 mk.

Nożyczki kute stalowe po 40, 50 60 i 90 fen.

Noże kieszonkowe tylko mocne po 20. 25, 30 fen.

Noże kieszonkowe o 2 nożykach grajcarku po 40, 50 60 fen.

Odsprzedającym rabat. Cenniki wielkie, około 2000 illustracyi wysełam darmo i franko. 208

M. Danecki,

Miejska Górka (Görchen in Pos

ZWIĄZEK ZIEMIAN

E. G. m. b. H.

TELEFON NR. 1615.

w Poznaniu ul. Wiktoryi 2.

przyjmuje depozyta i płaci zależnie od czasu wypowiedzenia $3^1/_2$, **4 i $4^1/_2$ %**, obliczając procent od dnia złożenia pieniędzy, 94

podejmuje się regulacyi hipotecznej,

pośredniczy w sprzedaży i wydzierżawianiu majątków,

podejmuje się administracyi majątków ziemskich

prowadzi rachunki bieżące z członkami tak zwane „Conto Corrente".

Książki do nabożeństwa, książki ludowe w wielkim wyborze. **Krzyże pod szklanym dzwonem** 30 cm., wysokie, od 4,50 mk. począwszy. **Klosze** szklane, okrągłe dzwony do pokrycia figur i innych przedmiotów. **Kandelabry, świeczniki, lichtarze, lampki** do stania i zawieszania. **Medaliony, medaliki, krzyże, krzyżyki** różnej wielkości. **Obrazy M. B. Częstochowskiej** na drzewie malowane w różnych oprawach. **Wielki wybór obrazów olejodruków, olejograwur, stychów francuskich** w oprawach i bez opraw. **Naszyjniki** z prawdziwych korali z medalionikiem lub krzyżykiem poleca

Księgarnia Nowa, FR. BŁAZEK. (Kwaśniewski).

założona 1878 roku. 263

Poznań, Jezuicka ul. 12, (Posen Jesuitenstr. 12.)

Sprzedającym wysełamy na żądanie cennik.

Fr. Jaworowski

Poznań, Szeroka ulica nr. 15.

TELEFON 701. tylko poleca TELEFON 701.

Smalec berliński

topiony i surowy 310

jeszcze po starej cenie.

Tanie opakowanie!

Wyborowy tytoń!

Tylko ręczna robota!

Wielki obrót!

Mały zysk!

powodują coraz większe rozpowszechnienie papierosów

„Dubec"

fabryki 350

M. Droste w Poznaniu.

---

2 widne sklepy 538 do przechowywania towarów, n. p. owocu i. t. d ma do wydzierżawienia **Karol Rzepecki,** Piekary 7, III.

Zakład dentystyczny

Leon Nowicki, Poznań, plac Piotra 2.

drugi dom od ulicy Wrocławskiej. 20

Do Szanownych Właścicieli domów!

Nowe papowe dachy podwójne, także łupkowe pod **dwudziestoletnią** gwarancyą, daję za stare **DACHY CYNKOWE**

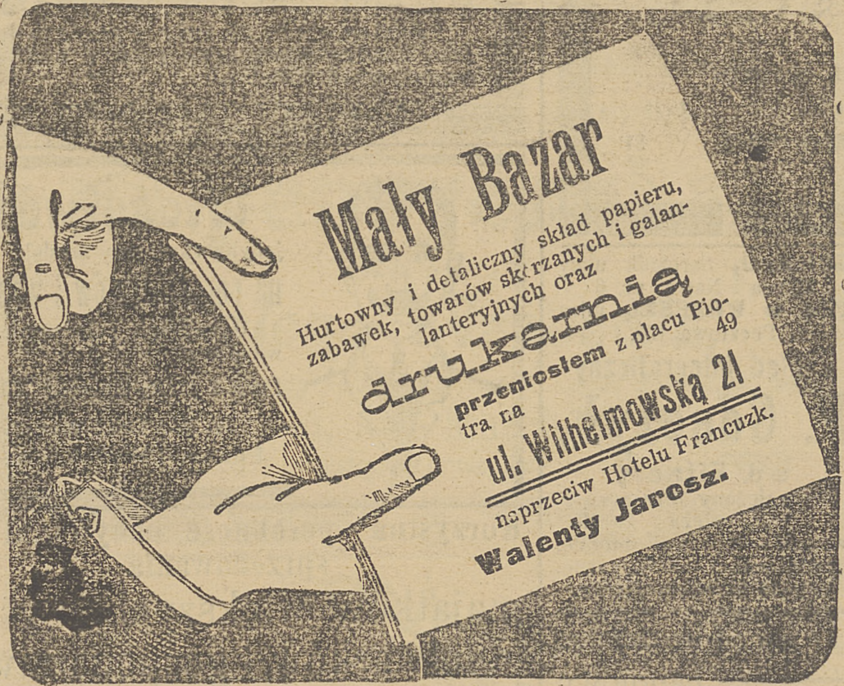
za które jeszcze dopłacam.

Także polecam się do wykonywania wszelkich **prac dekarskich, dachówką, łupkiem itd.** Wszelkie reparacye dachów wykonuję sumiennie i pod gwarancyą.

Kosztorysy i rewizye dachów bezpłatnie każdego czasu. Referencye z wykonanych prac na pałacach, kościołach itd. dostarczam każdej chwili.

J. Marciniak, mistrz dekarski. 474

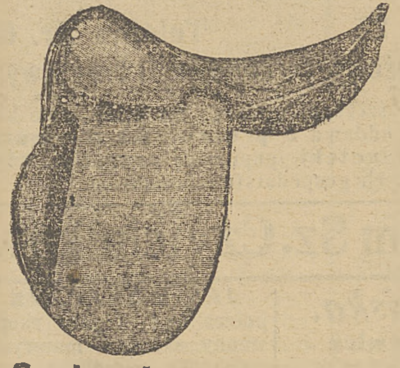
Biuro Poznań, św. Marcin 14. **Telefon Nr. 716**



Leon Pluciński, mistrz siodlarski

Poznań, św. Marcin 52/53.

Interes istniejący od roku 1875. 311



Wydział do konnej jazdy:

Siodło męzkie gładkie, całkiem z świńskiej skóry, wiedeńskie od 27—32 mk. Siodło to samo z przodkami (Kniepauschen) od 35 do 45 mk. Siodła całkiem watowane, angielskie, od 45—100 mk. Siodła wysadzane jelonkiem od 65—110 mk., ze skórzanemi łękami. **Siodła damskie** od 75—250 mk. podług jakości. **Trandzle i mundsztuki** od 7—10—13—15—18—21—24 do 30 mk. **Popręgi i czapraki** do siodeł do 3, 4, 6, 7,50, 9, 12—24 mk. **Szpicruty** od 0,50—1, 1,50, 2, 3, 4—30 mk.

Zlecenia uskutecznia się **odwrotnie.**

Baczność Rodacy! 510
Darmo i franko wysyłam na żądanie nowo wydany katalog na książki powieściowe, do nabożeństwa, obrazy, powinszowania, pocztówki narodowe itd. Bardzo korzystny zakup!
L. Mrówczyński, Rawicz
Rawitsch (Pr. Posen).

Kupcom

poleca **świeży**

olej siemienny

najtaniej 290

Artur Gustowski

Opalenica.

Przedsiębiorstwo

miernicze i melioracyjne

Pankalla & Krenz

Poznań, ul. Wiktoryi 2.

wykonuje wszelkie roboty w zakres miernictwa i melioracyi wchodzące po najniższych cenach, a mianowicie:

1. Roboty drenarskie,

wykonanie projektów do zawiązania spółek drenarskich, ulepszenia łąk przez osuszanie i nawadnianie, 40

2. Pomiary przez mierników zaprzysiężonych jako to: parcelowanie większych i mniejszych majątków gospodarstw, regulacye granic, pomiary gruntów miejskich i podział na placu budowlane itd.

Pranie bez mydła!!!



Kto się nie przekona o znakomitych skutkach **„Saponinu z koszulką“** sam sobie szkodzi ponieważ wydaje dużo pieniędzy na mydło i rozmaite szumnie zachwalane proszki, które tylko bieliźnie szkodzą a brudu nierozpuszczają. 487

„Saponin z koszulką“ oczyszcza bieliznę **bez mydła i bez tarcia** tylko **przez gotowanie!** Pod gwarancyą **nieszkodliwy i bez chloru. „Saponin“** jest też dobrym środkiem do czyszczenia i mycia sprzętów domowych i kuchennych. Tylko prawdziwy w paczkach po **25 fen.** ze znaczkiem koszulką. Do nabycia w wszystkich drogeryach i składach kolonialnych, a gdzie niema na składzie wysyła się wprost z fabryki 8 paczek za 2,00 mk. franko i inclusiwe za zaliczką.

Chemiczna fabryka **„Saponia“ C. Nagórski,** Starogard (Pr. Stargard).

Specyalność: WYPRAWY.

W. JANASZEK, Poznań

ul. Jezuicka Nr. 1

(w narożniku Starego Rynku)

Magazyn wypraw.

Porcelana. Wielki wybór ozdobnych serwisów stołowych na 6, 12, 18 i więcej osób.

Serwisy do kawy.

Szkło kryształowe gładkie, rznięte, grawirowane.

Kieliszki, szklanki, salaterki, talerzyki karafki, zastawy etc.

Lampy gazowe 37
Lampy naftowe
Lampy spirytusowe.
Sprzęty kuchenne.

Emal. naczynia. — Stalowe i drewniane wyroby, szczotki, łóżka żelazne, umywalki, garnitury do mycia etc.

Stała wystawa. — **12 okien wystawnych.**

Cennik na żądanie bezpłatnie.

Restauracya

KISLINGERBRÄU

(Kaźmirz Krenz)

przy placu Wilhelm. **Poznań** w środku miasta, w pobliżu przystanku kolei elektrycznej.

Wyborne obiady

od godziny 12—3-ciej

po 1,25 mk., **w abonamencie 1,00 mk.**

Wielki wybór śniadań i kolacyi. 36

Uznana za najlepszą zimną ruską kuchnią.

Dobrze pielęgnow. piwa i wina. Dobra wentylacya.

Znakomita kuchnia.

PIERWSZORZĘDNY POLSKI

magazyn mebli stylowych

Józef Sroczyński

Telefon 1280 POZNAŃ, BERLINSKA 8. **Telefon 1280**

Dobra i rzetelna usługa przy nizkich cenach.

Rysunki i kosztorysy bezpłatnie.

Najlepsze referencye. 51

Józef Stabrowski

GNIEZNO, Tumska Nr. 16.

WIELKI SKŁAD

Materyi, Garderoby męskiej i Kapeluszy.

Dobre i najtańsze źródło zakupu.

Pracownia eleganckiej garderoby podług miary.

Przewielebnemu Duchowieństwu polecam doskonały i znany dobry krój rewerend i płaszczy.

Łaskawe zamówienia wykonuje się jak najstaranniej, elegancko i według najnowszych żurnali. 119

Kasa oszczędności

Banku Rolniczo-Przemysłowego

Kwilecki Potocki i Sp.

przyjmuje na oprocentowanie wkładki każdej wysokości od **1 marki** począwszy, płacąc od **3** do **4½ proc.** wedle umowy. 19

GNIEZNO, narożnik ulicy Horna i Nowe nr. 6 Filia **w WRZEŚNI,** ulica Pocztowa 192.

Zakład fotograficzny

P. Gdeczyk,

z d. **Eitner,**
założony 1879 r.
poleca 267
wszelkie nowości modne, powiększenia artystyczne, zdjęcia architektoniczne.



Włosolwór

jedyny skuteczny środek

na porost włosów i wąsów.

Używany i polecany przez wiele osób. 326

Puszka 3 mk., 3 puszki 7,50 mk.

A. Bytkiewicz,
Berlin, Uhlandstrasse 145.

Oszczędności i wkłady

przyjmujemy i płacimy: 183
przy wypowiedzeniu kwartalnem 5 procent,
" " półrocznem 5½ "
" " całorocznem 6 "
od dnia złożenia pieniędzy, obliczając procenta co pół roku. **Pewność zupełna.**

Kujawski Bank Parcelacyjny,
E. G. m. b. H.
w Inowrocławiu (Inowrazlaw).

Pomocnik handlowy

szuka posady, którąby objąć mógł zaraz lub od **1-go 10.** Warunki skromne. Zgłoszenia prosi:

W. STROJNY.
POZNAŃ, Grobla 27 a.

Makulaturę

ma tanio do oddania

Drukarnia „Pracy."

Korzystna sposobność nabywania lub sprzedawania

majątków większych, 39
folwarków i gospodarstw
oraz regulowania hipotek,

które uskuteczniam szybko, sumiennie i tanio.

G. Ritter, Poznań

Wodna ul. 27. **Telefon Nr. 62.**

Interes zbożowy, parcelacyjny i finansowy.

Zwracam szczególną uwagę na to, że mam każdego czasu do oddania **5 procentowe pierwszo-miejscowe hipoteki** (pupilarnie pewne) na większych i mniejszych gospodarstwach zapisane.

Firmy polskie na prowincyi polecają się względom Sz. Czytelników.

Bydgoszcz.

W. Sowiński

ul: Fryderykowska nr. 29. Pracownia eleganskiej garderoby męskiej na miarę. Skład sukna, nowości w materyach krajowych i zagranicznych. Przewielebnemu Duchowieństwu polecam dobry krój rewerend i płaszczy

Gniezno.

Książki wszelkiego rodzaju, nuty i artykuły piśmienne poleca i wysyła na zamówienie odwrotną pocztą

J. WIŚNIEWSKI,
Księgarnia — ul. Tumska 3.

Kępno.

Stara apteka i drogerya poleca wszelkie artykuły kraj. i zagr., mydełka, perfumy i inne kosmetyki.

Edmund Kozłowski

Jedyny POLSKO-KATOLICKI
magazyn mebli w miejscu poleca się łaskawym względom Szanownej Publiczności Kępna i okolicy.
Leon Mozdrzanowski.

Kościan

ul. Małej kolejki kościańsko-gostyńskiej

Stanisław Augustyniak
Handel drzewa budulcowego belek i kantówek, blochów, desek, łatów i t. d.
Skład dzwon bukowych.
Papy na dachy.

Kostrzyn.

H. Andruszewski
Hôtel Victoria
Pierwszorzędny hotel, pokoje świeżo urządzone restauracya, bilard, kręgielnia. Handel towarów kolonialnych, delikatesów, win, cygar i destylacya. Skład farb. Ceny niskie, usługa skora

Michał Woźny
poleca skład bławatów, płócien, materyi na suknie, bieliznę, chustek, stołowiznę, trykotarzy, kapeluszy i gotowej garderoby męzkiej w wielkim wyborze. Ceny stałe.

Miejska Górka.

A. Wybieralski.
Hotel. — Handel żelaza długiego i krótkiego, artykuł. budowl. i tow. kolonialnych.

Ostrów.

J. Kopecki, Ostrów, ul. Koszarowa 20 i Osiek (Netzthal. Własna fabryka wszelkich pomp i specyalny interes kopania i wiercenia studzien na wielką skalę; dostarczania wody na każdem miejscu

Pleszew.

Skład kół i maszyn do szycia, również wszelkie części rezerwowe do takowych, z pierwszorzędnych renomowanych firm poleca **St. Ostojski,**

Pobiedziska.

M. Koczorowicz
w rynku poleca obuwie od najpośledniejszego do najwykwintniejszego, oraz wszelkie reparacye wykonuje starannie po cenach umiarkowanych.
Swój do swego!

Śmigiel.

J. Karpiński.
Pracownia gard. mężkiej, skład sukna, bielizny i innych artykułów, gotowej gard. dla dorosłych i dzieci.

Strzałkowo.

Największy dom towarowy
W. Ziarniaka
poleca materye wełniane i na suknie płótna, towary krótkie, garderoby mężką w najnowszych fasonach gotową i podług miary.
Równocześnie polecam darte gęsie pierze po 2,50 i 3,00 marki za funt.

Antoni Matczyński
poleca swój hurtowny skład **piwa, fabrykacyę wody selterskiej** oraz **skład kolonialny i delikatesów** łaskawym względom Szan. Publiczności.

JAN BOGACZYK
poleca swój bogato zaopatrzony skład w materyach na suknie i wszelkich towarach łokciowych, krótkich, galanteryjnych, garderobie mężkiej i artykułach dewocyjnych, prosząc o łaskawe poparcie.

Szan. Publiczności Strzałkowa i okolicy donoszę, iż otworzyłem **magazyn mebli i trumien.** Wielki wybór. Ceny wyjątkowo tanie proszę o gorliwe poparcie
W. Bogacki

Śrem.

TADEUSZ SZRAJBER.
Skład zegarmistrzowski, maszyn do szycia i kołowców. Poleca się przy zakupnie *maszyn do szycia, kołowców,* tak na spłaty częściowe jako też za gotówkę.
Cenniki gratis i franko.

A. Zwierzchowski,
pierwsza polska fabryka **siatek drutowych na płoty w Śremie**

Prosimy odciąć.
i zanieść na pocztę.

Unterzeichneter abonirt hiermit bei dem Kaiserlichen Postamt für das IV. Vierteljahr 1906 die in Posen erscheinende Wochenschrift

„Praca"

(Abteilung II. t. poln. Nr. 95 der Zeitungspreisliste)
für M. 1,25 (mit Abtragegeld **M. 1,37.**)

(Imię i nazwisko): ....

(Mieszkanie): ....

Obige M. erhalten zu haben, bescheinigt

...................., den....................

Kaiserl. Post ....